

ISSN 1427-6720

Pionierzy

NR 1(8) 99 ROK IV
ZIELONA GÓRA
Cena 2 zł

CZASOPISMO SPOŁECZNO-HISTORYCZNE



- **Wspomnienia Pioniera**
- **Z Łodzi do Zielonej Góry**
- **Opowiadanie o pogodzie**
- **Zielonogórskie cmentarze**

Ulica Lisowskiego

*Nie omijaj ulicy poszarpanych tynków
granitowej kostki
po której spłynęły wieki
małych kamieniczek
klęczących przy okaleczonych chodnikach
onieśmielonych trwaniem
nie uciekaj od nich daleko
stań popatrz
na ten świat co tak bezpowrotnie odchodzi*

Zenon Czarnecki



Il. Stanisław Para



899 III 1999

Pionierzy

CZASOPISMO SPOŁECZNO-HISTORYCZNE

Wydawca:

Sekcja Historyczna Stowarzyszenia
Pionierów Zielonej Góry,
ul. Stary Rynek 1,
Ratusz – Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra.

Redakcja:

Redaguje Kolegium w składzie:
Maria Gołębiowska,
L. Krutulski-Krechowicz (fotograf)
Wiesław Nodzyński,
Tomasz Nodzyński,
Wojciech Strzyżewski.

Adres Redakcji:

ul. Stary Rynek 1,
Ratusz - Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra

Skład komputerowy i opracowanie graficzne:

Heroldia P.R.

Korekta:

Grażyna Karpińska

Okładka:

Grafika:

Witold Nowicki

Druk:

Drukarnia „EURODRUK”
Zielona Góra

Materiałów nie zamawianych
redakcja nie zwraca.

W materiałach nadesłanych
redakcja zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian redakcyjnych.

Za treść reklam
redakcja nie odpowiada.

Od redakcji

Ten numer 1/8/99 ukazuje się dzięki wsparciu finansowemu władz miejskich i darowiźnie (500 zł) zielonogórskiej notariusz p. Ady Miśkiewicz. Dziękujemy!

Jak zwykle jest on pełen treści. Otwierają go interesująco napisane wspomnienia pioniera Zielonej Góry p. **Ryszarda Gałuszewskiego**. Odbił on niełatwą podróż ze zniszczonej w powstaniu Warszawy do naszego miasta w 1945 r. Uczestniczył w pierwszym święcie Winobrania w dniach 22 i 23 września tegoż roku. Przez kilka lat był nauczycielem zielonogórskich szkół (na dowód zdjęcie w tekście wspomnień) by w 1953 r. z Zielonej Góry wyjechać. Ale o mieście nie zapomniał... Podobną podróż, tyle że z Łodzi, odbyła p. **Julia Riedel**. W Zielonej Górze mieszka do dzisiaj. **Zdzisława Kraśko** kontynuuje swoją opowieść „Gdy myślę Ojciec” o życiu i dziele dr. Romana Mazurkiewicza. Z tą opowieścią związana jest zorganizowana aktualnie w Muzeum Ziemi Lubuskiej wystawa pod tym samym tytułem. Zachęcamy do jej obejrzenia. **Jadwiga Kolibabka** pisze o swym ukochanym Polesiu. Trzeba pamiętać o korzeniach. **Jan Muszyński** w cyklu „Rozmyślania o północy: opowiada o burzliwych losach 17-letniego uczestnika powstania warszawskiego Aleksandra Dziejzica i o sensacyjnym wręcz odnalezieniu pisanego przezeń w czasie powstania pamiętnika – po wojnie. **Małgorzata Tworowska** zaczyna opisywać (I odcinek) historii zielonogórskich cmentarzy. Nie jest to dotychczas zbyt znana historia. **Ryszard Krasowski**, znany zielonogórski meteorolog, ujawnia wiele interesujących szczegółów dotyczących właściwości pogody w Zielonej Górze na przestrzeni lat. **Witold Nowicki** dokonał wyboru wierszy tzw. rubajjatów z perskiej poezji XII w. na temat wina. Nie powinno to nikogo dziwić w mieście winobrania.

To nie wszystkie warte lektury pozycje tego numeru. A do tego jeszcze kulinarne porady Starogo Piwowara – Stanisława Prałata i krzyżówka STANGARA. Życzymy ciekawej lektury!

1999
1-3

Ryszard Gałuszewski

Niektóre wspomnienia z mojego życia

albo

niektóre wspomnienia pioniera Ziemi Odzyskanych

Kiedy w miesiącu sierpniu 1997 roku, jako emeryt, odwiedziłem po kilkuletniej przerwie Zieloną Górę, pobyt ten traktowałem jako „podróż sentymentalną”.

(sierpień 1997 r. – sierpień 1998 r.)

DLACZEGO PISZĘ?

W zamiarach moich było odwiedzenie miejsc i ludzi, których znałem i pamiętałem z okresu osiedlania na Ziemiach Odzyskanych. W realizacji moich zamierzeń znacznie pomagała mi moja bardzo bliska kuzynka. Hania Gruszyńska, bo o niej mowa, jest gorącą patriotką tego miasta i również pionierką. Mama Anna-Wanda wraz z ojcem Janem przywieźli ją w końcu października 1945 roku w beczku prosto z Warszawy. Właśnie z Hanią, po całodziennych trudach odwiedzania miejsc, które mnie interesowały, rozpoczęły się nasze wieczorne rozmowy. Oczywiście przedmiotem tych rozmów były fakty, zdarzenia i przeżycia z tych ponad 50 lat naszego życia. Hania przez cały ten okres – z przerwą na studia w Warszawie – mieszkała w Zielonej Górze, ja natomiast w 1953 roku miasto to opuściłem na stałe i już nigdy tu nie powróciłem. Wspominki dotyczące pierwszych dni osadnictwa były bardzo jednostronne i dotyczyły prawie tego „jak to było”, a żona moja Halina oraz mąż Hani – Andrzej dzielnie nam w tym kibicowali. Głosu jednak w tych sprawach nie zabierali. Oni przeważnie słuchali. Oczywiście więcej do opowiadania miałem ja, gdyż po przybyciu do Zielonej Góry miałem skończone już lat 15, natomiast Hania tylko dwa tygodnie. A więc mój zasób wiadomości o tym okresie był znacznie większy. Hania natomiast posiadała większą wiedzę o latach późniejszych, kiedy mnie w tym mieście już nie było. Tak więc nasze wiadomości o ludziach i mieście wzajemnie się uzupełniały. W pewnym momencie Hania zaskoczyła mnie pytaniem: - Dlaczego nie opisziesz tego wszystkiego w formie wspomnień do Sekcji Historycznej Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry? Dlaczego nie podzielisz się swoimi przeżyciami z tego okresu z innymi?

Sugestię Hani, napisania wspomnień, potraktowałem mało poważnie i przyznam, że początkowo nie przykładałem do tego żadnej wagi. Byłem przekonany, że wszystko to są sprawy tak oczywiste i banalne, iż po prostu nie zasługują na uwagę.

Zdanie moje na temat napisania wspomnień uległo zmianie w grudniu 1997 roku, po otrzymaniu od Hani przesyłki z nr 3 i 4 z 1997 roku Czasopisma Społeczno-Historycznego „PIONIERZY”. Lektura otrzymanych egzemplarzy „PIONIERÓW” przekonała mnie do podjęcia decyzji, aby w formie wspomnień o przeszłości skreślić parę mało po-

radnych opisów z lat pionierskich. Właśnie z otrzymanych egzemplarzy czasopisma powiększyła się moja wiedza o niektórych ludziach, z którymi się spotykałem, oraz wydarzeniach, w jakich brałem udział. Ale dowiedziałem się też o sprawach, o jakich po prostu nic nie wiedziałem. Sądzę, że niżej opisane moje przeżycia, w pewnym stopniu, przyczynią się do wypełnienia obrazu życia i trosk ludzi podczas osiedlania się w Zielonej Górze tuż po zakończeniu II wojny światowej w Europie.

Przystępując do kreślenia wspomnień założyłem, że:

1) Będę starał się, nie ulegać modnym aktualnie hasłom w ocenach i zachować zgodność opisu faktów i zdarzeń ze stanem moich odczuć, czyli dążyć do pokazania prawdy o czasach minionych w moim rozumieniu. Podawane daty zdarzeń mają pełne uzasadnienie w dokumentach źródłowych, natomiast daty zdarzeń ogólnych pochodzą z „Encyklopedii popularnej” PWN. Zostaną też użyte określenia typu „lipiec”, „wiosna” itp. dla faktów i zdarzeń bez dokumentów źródłowych.

2) Chcę opisywać tylko te wydarzenia, w jakich brałem bezpośredni udział, bądź też byłem naocznym świadkiem. Bardzo rzadko odwoływał się będę do przekazów innych ludzi, które nie zawsze były prawdziwe.

3) Przepraszam te wszystkie osoby, których nazwiska bądź imiona zniekształciłem, a szczególnie ludzi godnych, których może pominąłem we wspomnieniach. Na usprawiedliwienie mam tylko to, że okres 50 lat od tamtych czasów dużo zatarał w mojej pamięci.

4) We „Wspomnieniach” będę pisał tylko o ludziach, którym mam coś do zawdzięczenia, za ich pomoc udzielaną mi w trudnych chwilach mojego życia. O ludziach, którzy wyrządzili mi w życiu dużo zła – a byli i tacy – wspominał w ogóle nie będę, gdyż nie zasługują oni na moją pamięć.

Ostatecznie okres między sierpniem 1997 roku a sierpniem 1998 roku wypełniony był zbieraniem dokumentów i zdjęć archiwalnych oraz właściwym pisaniem wspomnień.

WYZWOLENIE I ZIEMIE ZACHODNIE

(styczeń 1945 r. – listopad 1953 r.)

Wyzwolenie

Wreszcie, w mroźne zimowe dni stycznia 1945 r., przyszło upragnione wyzwolenie spod hitlerowskiej okupacji.

We wsi Orłów działalność wyzwoleniczej ofensywy Armii Radzieckiej zaznaczyła się przetoczeniem dużej liczby czołgów po polach na skraju wioski oraz przemarszem przez wieś grupy partyzantów pod dowództwem Tadeusza Pietrzaka (w latach 1965-71 był on komendantem głównym Milicji Obywatelskiej). Mieszkańcy wioski znali go osobiście, ponieważ był on mieszkańcem sąsiedniej wioski – Duranów. Jeden pocisk artyleryjski, jaki spadł na wioskę, trafił w zabudowanie kuchni Stanisława Błażejewskiego, powodując zniszczenie zagrody. Nastąpiła też wielka radość ludzi, że zakończyła się wreszcie okupacja hitlerowska. Ale już w najbliższej okolicy skutki tej ofensywy były bardzo widoczne i tragiczne.

W Kornelinie został spalony czołg radziecki. Obok tego czołgu leżał na boku zwęglony żołnierz, a na jego przedramieniu zawieszona była wiadra. Czołg ten był prawdopodobnie trafiony przez działo niemieckie. Wcześniej, w ramach „okopów”, musiałem pracować przy budowie umocnienia. Również na torach kolejowych w tej miejscowości widać było skutki ofensywy. Obydwa tory kolejowe na szlaku Warszawa – Poznań były zatarasowane niemieckimi wojskowymi transportami kolejowymi. Transporty udające się w kierunku zachodnim zostały unieruchomione przez lotnictwo radzieckie. Gdy dotarła do nas wiadomość, że stoją na torach porzucone przez Niemców transporty, udaliśmy się tam niezwłocznie po jakąś zdobycz. Ludzie mówili o wielkich bogactwach, jakie wieźli ze sobą uciekający Niemcy. Żywych Niemców w wagonach już nie było, więc zaczęliśmy przeszukiwać pozostawione przez nich ładunki. Było tam wszystko, co jest potrzebne każdemu do życia. Ponieważ nikt tego nie zabronił, więc brało się wszystko, na co tylko kto natrafił. Była więc żywność, papierosy, mąka, groch, oleje itp. Nie brało się tylko uzbrojenia i amunicji, czego było chyba najwięcej. W okolicy tej znajdował się też pociąg sanitarny, wiozący rannych żołnierzy niemieckich. Nie wiem, jak to się stało, że żywych Niemców w wagonach już nie było. Było natomiast w rowach, obok wagonów, dużo trupów. Wszystko wskazywało na to, że byli oni pasażerami wspomnianego pociągu. Wkrótce wagony te zostały ściągnięte na bocznicę kolejową, a tory zostały przystosowane do ruchu pociągów na szerokich torach, które wiozły na zachód też żołnierzy, ale radzieckich. Utworzone nowe władze polskie zarządziły, żeby zwracać na posterunki Milicji Obywatelskiej całe mienie ponemieckie z transportu kolejowego. Nie słyszałem jednak, aby ktoś spełnił ten obowiązek.

Aktualna w tym czasie stała się sprawa powrotu do Warszawy. Przebycie 54 km z Sochaczewa do Warszawy nie było sprawą łatwą, bowiem żadnej komunikacji w tym kierunku nie było. Wszystko, co tylko poruszało się na kołach, oddane zostało dla potrzeb wojska i skierowane na zachód. Odległość tę pokonywaliśmy ze stryjem Janem pieszo. Pierwszego dnia dotarliśmy w okolice odległego o 27 km Błonia i tam w jakiejś wiosce przenocowaliśmy. Drugiego dnia, uskrzydleni bliskością celu podróży, zwało ruszyliśmy dalej. Marsz utrudniały nam drewniane trepy na nogach, ale innych butów już nie było. Po trudach tej podróży, zmęczeni, ale szczęśliwi stanęliśmy u wrót miasta. Warszawę zobaczyliśmy leżącą w gruzach i z bar-

dzo małymi oznakami życia. W pierwszej kolejności udaliśmy się na ulicę Ostroroga, gdzie mieszkał stryj Jan. Zastaliśmy tam tylko zwały gruzów po byłym budynku. Nie było tam czego szukać, więc udaliśmy się w kierunku ul. Łuckiej, miejsca mojego zamieszkania. Tu zastaliśmy mocno zrujnowany budynek i kompletnie zdemolowane i rozszabrowane mieszkanie. W mieszkaniu zostały się tylko drzwi i elementy stołu, łóżka oraz otomany. Okno było wyłamane, a piwnica dokładnie rozkopana przez szabrowników poszukujących ukrytego majątku. Żadnych warunków do życia nie było. Po zabezpieczeniu drzwi wejściowych i oznakowaniu, że lokator powrócił, oraz zabranu niektórych rodzinnych drobiazgów, postanowiliśmy wracać do Sochaczewa, żeby zastanowić się, co robić dalej. Udaliśmy się na rogatki ul. Wolskiej z nadzieją, że w tym kierunku znajdzie się jakiś transport. Podróż pieszo mieliśmy serdecznie dosyć. Sprawa jednak okazała się bardzo trudna. W kierunku zachodnim szosą jechały wyłącznie kolumny wojskowe i o ich zatrzymaniu mowy być nie mogło. Pojedyncze samochody należały do rzadkości, a cywilne pojazdy na drogę wpuszczane nie były.

Pierwszego dnia do wieczora odjechać się nam nie udało, więc z osobami innymi, o potrzebach podobnych do naszych, przekoczowaliśmy w stojącym niedaleko, opuszczonym budynku. Tam też trochę rozgrzaliśmy się przy ognisku i zagotowaliśmy wodę do napicia. O spaniu mowy być nie mogło, więc oprócz gorącej kawy zbożowej zebrane towarzystwo spożyło też pewną ilość bimbru z posiadanych zapasów. Spożywano go jednak w umiarkowanych ilościach, bowiem w tym czasie był to jedyny „środek płatniczy”, na widok którego kierowca niekiedy zdecydował się zatrzymać pojazd i jego właściciela wraz z pokazywaną butelką zabrać jako pasażera. Rano wyruszyliśmy ponownie na szosę z nadzieją, że może się uda jakoś pojechać. Szliśmy pomału skrajem drogi i na widok samochodu stryj Jan demonstrował podniesioną do góry półlitrową butelkę. Kierowcy na znak ten nie reagowali, a my z czasem traciliśmy wiarę, że ktoś nas zabierze. Szliśmy powoli na własnych nogach.

Po przebyciu kilku kilometrów stała się rzecz dla nas mało oczekiwana. Na widok wspomnianego wabika, zatrzymała się samotnie jadąca, radziecka cysterna samochodowa. Kierowca, wspólnie z jadącym obok, chyba oficerem, dokonali degustacji zawartości butelki. Czynności tej dopełniła również, jadąca na zewnątrz, radziecka kobieta-żołnierz. Po ustaleniu, że drugiej butelki już nie mamy, pozwolili nam wejść na stopień cysterny i podróż się rozpoczęła. Przytuleni do oblodzonego metalu szybko zaczęliśmy odczuwać dotkliwe zimno. Podróż miała bardzo wolno. Droga była bardzo śliska, a cysterna pod kilkutonowym obciążeniem jakiegoś paliwa jechała bardzo wolno. Do tego mróz w dniu tym był siarczysty. Dziś już nie wiem, jak znosił to zimno stryj Jan z żołdatką, ale dla mnie podróż ta była okropna. Początkowo zrobiło mi się bardzo zimno, z czasem zimno to przeszło w okres, że trzęsłem się jak w febrze. Rozgrzać się nie było jak, ponieważ ręce zajęte były trzymaniem się cysterny, aby nie upaść. Ale chyba gdzieś w okolicach Błonia poczułem, jak zimno ustępuje i zaczęło robić się bardzo przyjemnie. Było już ciepło, błogo i za-

cząłem w tym stanie po prostu zasypiać. Tylko dzięki stryjowi Janowi i kobiecie-żołnierzowi nie usnąłem chyba na zawsze. Okazało się, że miałem przedsmak „śmierci przez zamarznięcie”, która w ostatniej fazie jest już nawet „przyjemna”. W takim stanie zostałem zdjęty z cysterny w Sochaczewie i mądrzy ludzie przystąpili do udzielania mi pierwszej pomocy. Przywracanie mnie do życia polegało na tym, że bardzo długo byłem na powietrzu nacierany śniegiem, szczególnie w tych miejscach, jakie były zmarznięte najbardziej. Później otrzymałem dużą porcję gorących napojów i ułożono mnie pod pierzyną. Tym razem pozwolono, żebym usnął. Spałem bardzo smacznie, podobno prawie dwie doby. Z podróży tej pozostały mi odmrożone nogi, dłonie i uszy. Po minięciu kryzysu przez kilka dni leczony byłem domowymi sposobami z przeziębenia, razem ze stryjem Janem, który podróż tę też odchorował.

Ale na długie chorowanie warunków nie było. Życie moje w tym okresie wypełnione było wyjazdami do Warszawy w celach handlowych. Wozilo się tam znowu mąkę, kaszę, ziemniaki, a nawet wędliny kuzyna Zygmunta Kozierskiego. Podróż do Warszawy z reguły odbywała się taborem kolejowym, wracającym na wschód już pusto lub z rannymi żołnierzami radzieckimi. Powroty do Sochaczewa odbywały się transportami wojskowymi jadącymi na front. Za walutę w butelce udawało się często wsiąść na stopień wagonu. Dla nas najlepszymi kontrahentami byli czołgiści. Zaletą ich transportu było to, że wygodnie siedziało się na platformie kolejowej pod czołgiem. Również ważną sprawą było, aby wysiąść we właściwym miejscu z takiego transportu. Właśnie tylko transporty załadowane czołgami zwalniały szybkość jazdy, nawet przy małych wzniesieniach terenu. Dlatego pomiędzy Sochaczewem a Leonowem była zawsze możliwość wyskoczenia w biegu z takiego pociągu. Chociaż zdarzyło się raz jeden, że wysiedliśmy dopiero w Kutnie. Tam zatrzymywały się wszystkie transporty wojskowe, aby nabrać wody do parowozu. W tym czasie do naszego mieszkania na ul. Łuckiej wprowadził się, po powrocie z Austrii, kuzyn Gieniu Kuja-wa, a więc mieszkanie było jakoś zabezpieczone. Cała rodzina z nadzieją oczekiwała na powrót Ojca.

W tym okresie dużo osób zaczęło wracać z Niemiec, a więc ciągle była iskierka nadziei, że Ojciec znajduje się wśród żywych i wróci. Jednak ludzie powracający z niewoli przywozili też złe wiadomości. Opowiadali o zabitych na skutek bombardowania aliantów i działań wojennych. Więcej też było informacji o losach więźniów z obozów koncentracyjnych. Wiara w to, że Ojciec ocalał, z czasem malała.

Nastąpiła też zmiana naszych opiekunów. Ja, ze względu na ciągłe obcowanie ze stryjem Janem, stałem się podopiecznym rodziny ojca, Zenek, na skutek nieporozumień z rodziną ojca, stał się podopiecznym rodziny matki i tak już pozostało do końca.

Przyszła wiosna. Nadszedł 9 maja 1945 roku. Ludzie doczekali się wreszcie końca tej strasznej wojny. Obchodzono uroczyste Dzień Zwycięstwa! Z perspektywy czasu dostrzegam, jak do mojej ówczesnej sytuacji dopasowane są słowa tej przepięknej rosyjskiej pieśni:

„Dzień Zwycięstwa, kwitną białe bzy,
Wielka radość, ale w oczach pełno łez...”

Stało się dla mnie jasne, że dni pokoju przywitałem jako dziecko okaleczone psychicznie bez żadnej mojej winy, jako pełna sierota wojny. Spostrzegłem, że ostatnie lata przeżyłem bez dzieciństwa, że wojna dokonała w mojej psychice ogromnych spustoszeń, że nie bardzo wiedziałem, co dalej ze mną będzie. Wprawdzie byłem świadom tego, że takich dzieci jak ja jest dużo więcej, ale mój ból był dla mnie najbardziej dotkliwy. Tak więc druga wojna światowa rozbiła mój dom rodzinny, zniszczyła pojęcie o szczęściu. Wcześniej musiałem wziąć odpowiedzialność za swoje dalsze losy i życie. Problemy zaczęto rozwiązywać przystosowując się do nowej rzeczywistości. W sprawie dalszego wykorzystania mieszkania na ul. Łuckiej 16 stryj Jan z kuzynem Gieniem dogadać się nie mogli, więc zapadła decyzja o jego sprzedaży. W tym czasie obaj zdecydowali się, żeby wyjechać już na stałe z rodzinami na Ziemię Odzyskane. Wiosna była dla mnie nie tylko okresem zakończenia wojny, ale również „Trzecim i Ostatnim Etapem Rozpadu Domu Rodzinnego” i to po części za sprawą Ziemi Odzyskanych. Z młodszym bratem Zenkiem, liczącym sobie wtedy 11 lat, zostaliśmy rozłączeni już na zawsze. Wyjechał On z rodziną Błażejewskich do Darłowa, tam żył, pracował i zmarł dnia 16 grudnia 1987 roku w wieku 53 lat.

Stryj Jan rozpoczął przygotowania do wyjazdu ze wsi Orłów na Ziemię Zachodnie, mając na uwadze, że ja wyjadę razem z nim i zamieszkam z jego rodziną do czasu powrotu Ojca z obozu. W dniu 22 maja 1945 roku otrzymał on z Zarządu Gminy Kozłów Biskupi, pow. Sochaczew, zaświadczenie, które miało umożliwić otrzymanie pracy na terenach zachodnich. Z dokumentem takim podpisanym przez wójta i komendanta MO w kieszeni przystąpiliśmy do dalszych przygotowań, zapewniających sprawny wyjazd. W tym czasie mocną walutą na wszelkie trudności życia był dalej bimber. Mając taką walutę, dokumenty oraz inne drobniaczki w miesiącu lipcu wyruszyliśmy na podbój Ziemi Zachodnich. Podróż od stacji Sochaczew do stacji Poznań odbyliśmy na dachu wagonu towarowego z oznakowaniem „CCCP”, pociągiem poruszającym się po szerokich torach, przystosowanych dla potrzeb wojska i frontu. Okaleczeni działaniami wojennymi Poznań, po różnych trudnościach, opuściliśmy już pociągiem normalnym, z napisem PKP i dotarliśmy nim do miejscowości Kargowa. W miasteczku tym, leżącym kilka kilometrów na zachód od byłej granicy polsko-niemieckiej, osiadł już z całą rodziną nasz kuzyn Olek Leszczyński. Człowiek ten przez całe życie ciężko pracował, przeważnie w lasach. Była to pierwsza miejscowość na Ziemiach Odzyskanych, jaką napotkaliśmy na trasie naszej wędrówki.

Bliskość byłej granicy spowodowała, że Kargowa była już dość dobrze zaludniona przez osadników, więc zapadła decyzja, aby udać się dalej w kierunku zachodnim. Tym sposobem znaleźliśmy się w Czerwienku nad Odrą. Tu właśnie osiadł wcześniej inny nasz kuzyn, Stanisław Leszczyński, który pracował na PKP w Straży Ochrony Kolei. Miejscowość ta była bazą wypadową do penetracji po-

bliskich wiosek. Wówczas to po raz pierwszy zobaczyłem, jak wyglądają opuszczone przez ludność niemiecką całe wioski. Szczególnie utkwiło mi w pamięci spotkanie we wsi Nietków z sołtysem. Był on w tym czasie chyba jedynym mieszkańcem tej miejscowości. We wsi Wysokie natomiast pierwszy raz w życiu zetknąłem się z wywieszoną na budynku flagą białą-czerwoną z klinem niebieskim przy drzewcu. Okazało się, że w opuszczonej wiosce tylko w tym budynku zatrzymała się chwilowo grupa Czechów powracająca z Niemiec do ojczyzny.

Na terenie obecnych koszar wojskowych w Czerwienku, w sali gimnastycznej, zmagazynowane były skrzynie wypełnione naramiennikami, jakie nosiła niemiecka ochrona kolei. Takich dziwnych spostrzeżeń z okolic tego miasteczka miałem znacznie więcej. Wyprawy, o których była mowa, odbywały się na rowerze w towarzystwie kuzyna Stanisława. W jego obecności czułem się dość pewnie, ponieważ miał on duży karabin niemiecki na plecach, mnóstwo amunicji oraz polską opaskę białą-czerwoną na rękawie, co dodawało odwagi w terenie. Okazało się jednak, że miasteczko to nie było naszym przeznaczeniem i po krótkim tam pobycie udaliśmy się dalej, aby poszukać swojego miejsca na ziemi. Ponieważ brak było komunikacji, więc odległość 14 km przez wieś Płoty, Przylep do Zielonej Góry pokonaliśmy pieszo.

Grünberg, jaki ujrzałem...

Ujrzałem miasto otoczone ze wszystkich stron lasami, pełne zieleni, bardzo czyste, mało zaludnione i owiane legendą o uprawie winorośli. Było bardzo ciepło. Wszystkie sklepy były zamknięte i tylko z rzadka powiewały w niektórych oknach budynków flagi białą-czerwoną. Był to znak, że budynek zamieszkały jest przez Polaka. W takim domu, z wywieszoną flagą narodową, przy ul. Jana z Kolna (przy samym torze kolejowym prowadzącym do obecnego „POLMOSU” oraz innych zakładów pracy) złożyliśmy wizytę. Zamieszkiwał tu znajomy ze stron rodzinnych wraz z żoną i braćmi, Kazikiem i Marianem, Pan Lucek Sałaciński. Pan Lucek był żołnierzem września 1939 roku wziętym do niewoli niemieckiej. Po wyzwoleniu obozu, wracając z Niemiec, osiedlił się w Zielonej Górze i tu spędził całe życie. Był pionierem tworzenia administracji państwowej w tym mieście. Był dla nas człowiekiem bardzo przyjaznym. Od niego dowiedzieliśmy się, że przy ul. Krośnieńskiej (Lesnerstrasse) osiedlony już jest nasz kuzyn Andrzej Zimochock i to była druga nasza wizyta u znajomych w tym mieście. Zapadła więc decyzja o pozostaniu w Zielonej Górze na stałe. Rozpoczęło się poszukiwanie właściwego lokum.

Miasto po Warszawie było dla mnie bardzo interesujące, ponieważ miało wiele śladów minionych czasów i niewiele śladów wojny, jakie widzieliśmy w innych miastach na trasie naszej podróży. O wojnie przypominały tylko wyludnione ulice, spotykani uzbrojeni żołnierze Armii Radzieckiej, spalonych kilka budynków na ul. Jana Sobieskiego, mury spalonego więzienia przy ul. Łużyckiej na wprost ul. Krośnieńskiej i niektóre budynki fabryczne zionące potężnymi oczodolami, przez które były ewakuowane maszyny i urządzenia. W sumie panował wielki spokój i

duży zasób pustych domów do zaludnienia. Ostatecznie wybór padł na domek jednorodzinny przy ul. Krośnieńskiej 22 (Lesnerstrasse 22). W dniu 8 sierpnia 1945 roku Państwowy Urząd Repatriacyjny wydał Zaświadczenie tymczasowe na dom mieszkalny i ogród przy ul. Krośnieńskiej 22, a w dniu 10 sierpnia 1945 roku nastąpiło zameldowanie całej rodziny w Biurze Ewidencji Ruchu Ludności. W przydzielonym nam budynku natychmiast zostało wywieszone w oknie Zaświadczenie tymczasowe o przydzieleniu budynku, a w oknie na pierwszym piętrze załopotala flaga jako znak, że budynek jest zajęty. W tym czasie większość budynków na tej ulicy, aż do Państwowego Pogotowia Opiekuńczego, nie była jeszcze zasiedlona.

Wzmożony napływ ludności nastąpił po połowie sierpnia, tj. po upowszechnieniu wiadomości, że „wielcy tego świata” postanowili, że ziemię na wschód od Odry i Nysy



Zielona Góra, Plac Słowiański. Szkoła Podstawowa TPD
nr 1, klasa IIIc i IV c w latach 1950-1952
(wiosna 1952 r.).

pozostaną pod zarządem Polski. Wówczas to pojawili się nasi sąsiedzi: Sadowscy, Lenczakowscy, Rozbiczcy, Mikucy, Kalubowie, a później: Okuliczowie, Kosakowscy, Bukowie i Nowakowie. Ulica Krośnieńska od zakrętu do Domu Dziecka przestała być wyludniona.

Różne były motywy przyjazdu osadników do Zielonej Góry. Jedni przyjeżdżali na szaber, inni szukali dachu nad głową, a jeszcze inni musieli tu przyjechać z dalekich Kresów Wschodnich, gdzie zostali pozbawieni swoich domów. Początkowo przybysze podkreślali, skąd pochodzą, więc nazywali się „Poznaniakami”, „Warszawiakami”, „Lwowiakami”, „Francuzami”, „Westfalakami” itp. Wielu osadników nie mogło przeboleć, że musieli gdzieś zostawić dorobek całego życia i zawsze tęsknili za starym. Początkowo też bardzo nieufnie patrzono na mieszane małżeństwa, lecz młodzież szybko się integrowała i różnice pochodzenia szybko zanikały – ale następowało to później.

Dla nas okres od sierpnia do końca roku charakteryzował się przystosowywaniem do nowych warunków bytowania oraz nadchodzącej zimy. Samo miasto budziło się do życia pod każdym względem. Po skompletowaniu w odpowiednie sprzęty zajętego budynku mieszkalnego roz-

poczęło się poszukiwanie legendarnych skarbów, jakie rzekomo pozostawili w ukryciu Niemcy opuszczając swoje domostwa. Skarbów nie znaleźliśmy, ale natrafiliśmy na sprytnie zamaskowane 3 walizki z bielizną pościelową i 2 worki żyta na strychu, dość dobry odbiornik radiowy na poddaszu pralni i obórki dla kozy, zakopane w ziemi pod gruszą weki z drobiem oraz różne inne mało znaczące przedmioty a bardzo przydatne w gospodarstwie domowym. Oczywiście wszystkie te znaleziska okazały się wkrótce bardzo cenne, bowiem stanowiły źródło przychodów pieniężnych na utrzymanie rodziny w pierwszym okresie zamieszkania na tych terenach. Ważną sprawą było też zgromadzenie na zimę odpowiedniej ilości opału. Zgromadziliśmy trochę węgla brunatnego, węgla kamiennego tu nie spotykałem, oraz drzewa w postaci podkładów kolejowych. Owoce i warzywa zebrane zostały z działki przydomowej, natomiast ziemniaków nakopaliśmy na pobliskich polach, które to obsadzili wiosną Niemcy, jeszcze przed wysiedleniem.

W miesiącu października stryj Jan przywiózł już na stałe całą swoją rodzinę. Przyjechała stryjenka Anna-Wanda, 9-letnia Kryśka, 4-letni Maciek i oczywiście 2-tygodniowa Hania, o której na wstępie wspominałem. Ja, mając 15 lat, tym sposobem zostałem na pewien czas szóstym członkiem nowej rodziny.

Miasto w tym czasie też bardzo ożyło. Uruchomiono piekarnie, otwarto pierwsze sklepy spożywcze i rzeźnicze. Na ulicach coraz rzadziej spotykało się żołnierzy. Zaczęły odbywać się patriotyczne manifestacje i wiece ku różnym okazjom. Ale najbardziej uroczyste było pierwsze WINOBRANIE, zorganizowane w dniach 22 i 23 września 1945 r. W ramach uroczystości był pochód, były przemówienia, była zabawa taneczna na świeżym powietrzu oraz inne uciechy godne tego świętowania. Jednak dla wyznawców Bachusa, najważniejsze było to, że pod ratuszem ustawione zostały olbrzymie beczki z winem dla pokrzepienia uczestników wspólnego biesiadowania. Wino rozlewane do naczyń, prosto z beczki, cieszyło się ogromnym powodzeniem, ponieważ było bezpłatne. Dlatego było wielu amatorów kilkakrotnego odstania w ogonku po darmowy napój. Efekt był taki, że tych ze słabszą głową spotykało się leżących na bruku w bocznych uliczkach odchodzących od ratusza. Tam czekali na wytrzeźwienie. Do końca roku trwało też zapoznanie się z najbliższym otoczeniem miejsca zamieszkania. Do ciekawszych obiektów w okolicy zaliczaliśmy cegielnię znajdującą się za Domem Dziecka oraz działki wraz z altanami, na terenie których obecnie znajduje się Wyższa Szkoła Pedagogiczna. W cegielni odnaleźliśmy zmagazynowane w skrzyniach duże ilości kordzików oficerskich niemieckich wojsk lotniczych. Były one dobrze zakonserwowane i wyglądały bardzo ładnie, więc sztuk kilka przyniosłem do domu. Tu nie znalazły one uznania ze strony stryja Jana, ponieważ na głowicy posiadały duże stylizowane swastyki hitlerowskie. Zastąpiła więc konieczność wyniesienia ich z domu. Ponieważ mnie one się bardzo podobały, więc na zapleczu ukryłem pojedyncze egzemplarze. Później okazały się nawet przydatne. Działki natomiast były interesujące z tego powodu, że było tam dużo różnych owoców dojrzewających do je-

sieni, a w altanach można było znaleźć nawozy sztuczne, narzędzia rolnicze oraz inne drobiazgi przydatne w życiu codziennym.

W tym czasie stryj Jan odbył kilka podróży do Warszawy w celach handlowych. Wywoził tam różne przedmioty, z szybami okiennymi włącznie, w celu spieniężenia, a przywoził artykuły potrzebne do życia, z gołębiami domowymi włącznie, których był wielkim miłośnikiem. Ja na kilka dni zostawałem sam w całym domu, aby pilnować dobytku. Muszę przyznać, że pozostawanie samemu w domu, znajdującym się na skraju miasta, do przyjemności nie należało, tym bardziej, że zdarzały się różne dziwne niespodzianki. Na przykład pewnego ciepłego dnia, kiedy znajdowałem się na podwórku, do domu naszego bez pytania wtargnęła kobieta mówiąca po niemiecku Przez kilka minut gładziła meble w sypialni, głośno szlochała, a następnie, nie odzywając się do mnie, wyszła z domu i poszła w kierunku lasu. Przypuszczalnie była to właścicielka tego domu, ale skąd ona się wzięła, nikt tego zrozumieć nie mógł.

Innym razem, tuż przed wieczorem, na podwórko wjechał traktor z przyczepą, a na nim trzech żołnierzy radzieckich. Po ustaleniu, że w całym domu jestem tylko ja, oświadczyli, że będą tu nocowali. Przenieśli część ładunku z przyczepy do domu, a w tym duży, chyba 10-litrowy garnek ze smalcem, po czym zaczęli przygotowywać kolację. Posiłek składał się z duszonych w tłuszczu ziemniaków, chleba, cebuli oraz gorzałki. Goście wszystko mieli swoje, z wyjątkiem ziemniaków i cebuli, które ja dostarczyłem z ogródka. Wieczór minął w przyjemnej atmosferze. Po nakarmieniu siebie i mnie, dużo ze mną rozmawiali i stosunkowo mało pili gorzałki. Bardzo zmęczeni wcześniej ułożyli się do snu. Usnęli bardzo szybko i tylko duży karabin oparty o łóżko dyżurował, a ja długo siedziałem w kuchni obok prawie pełnego garnka smalcu. Siedziałem i zastanawiałem się, czy nie poznać rano, jeśli część zawartości tego garnka odłożę dla siebie. Potrzeba chwili jednak przemogła u mnie bojaźń. Wczesnym rankiem goście wstali i bez śniadania, nie zauważywszy ubytku smalcu w garnku, odjechali. Ja odetchnąłem z ulgą, jeszcze za bramą na ulicy kiwałem im ręką, aż zginęli za zakrętem w kierunku miasta.

Jeszcze innym razem wracałem z miasta do domu na „klapaku”. Klapakiem nazywaliśmy normalny rower, który nie miał na kołach opony z dętką tylko gruby wąż do podlewania wodą w ogródkach związany na styku drutem. Podczas jazdy urządzenie to strasznie klapało i stąd taka nazwa. Skręcając do bramy domu widziałem z przeciwka idącego samotnie żołnierza radzieckiego. Klapaka zostawiłem pod oknem kuchni, a sam wszedłem do budynku. Ku mojemu zdziwieniu zobaczyłem, że żołnierz ten zabiera mojego klapaka. Gdy wyszedłem z domu, aby interweniować, usłyszałem, że bym „małczał, bo eto germanckie”. Tak rozstałem się z moim pierwszym klapakiem. Strata nie była duża, ponieważ poszedłem na strych i skompletowałem drugiego, ale złe wrażenie żołnierz po sobie zostawił na długo. Takie były w zasadzie główne wydarzenia, z jakimi spotkaliśmy się do końca roku.

cdn.

Z Łodzi do Zielonej Góry



Julia Riedel, członkini SPZG, urodziła się w Łodzi przed wojną. Czuje do tego miasta do dzisiaj nieodparty sentyment. Jak wspomina, a był to czas jej dzieciństwa, były w tym mieście nadal atmosfera i pejzaż, które tak świetnie pokazał w swoim filmie „Ziemia obiecana” Andrzej Wajda. Ówczesny świat ograniczał się do podwórek w okolicy ul. Różanej, gdzie mieszkała, przy której mieszkali także państwo Irena i Julian Tuwimowie. Pan Julian Tuwim (1894-1953) był już wtedy znanym poetą, twórcą grupy poetyckiej „Skamander”, zaś pani Irena, siostra pana Juliana uczyła w szkole podstawowej przy ul. Kątnej panią Julię języka polskiego. Pamięta tę wspaniałą kobietę, która w sposób niezwykle interesujący prowadziła lekcje. I chyba coś w niej z tego zostało, pisze bowiem tylko dla siebie krótkie utwory wierszowane, opowiadania, bajki, co się później przydało, kiedy pracowała w Zielonej Górze w przedszkolu.

Swoistą szkołą życia były także wspomniane podwórka. Dziecięca publiczność była tu międzynarodowa: Polacy, Żydzi, Francuzi, Czesi, Niemcy. Rodzice tych dzieci pracowali w rozbudowanym łódzkim przemyśle, głównie tekstylnym. Żyli wszyscy w zgodzie, panowała wzajemna tolerancja. I taki obraz Łodzi pani Julia zapamiętała.

Ale nadeszła wojna. Łódź zaczęła nazywać się Lit-zmannstadt. Ojciec Julii wyruszył na tę wojnę do Warszawy i odnalazł się dopiero po wojnie, kiedy na skutek ciężkich przeżyć (całą wojnę się ukrywał) w 1945 r. zmarł. Nie zdążył odtworzyć trafiki (artykuły tytoniowe i prasa), którą jako były legionista przed wojną prowadził i która pozwalała rodzinie nieźle żyć. Opustoszały podwórka. Najwcześniej zniknęli z nich Żydzi. Zostały z matką i młodszą siostrą same. Julia musiała iść do pracy, miała już kilkanaście lat. Znalazła ją w zakładach „Union-Text”, w których produkcja trwała pełną parą na potrzeby Wehrmachtu. To pozwalało jakoś żyć i spać we własnym łóżku, bo część młodzieży łódzkiej, jak wszędzie, wywożono na roboty do Reichu, do którego włączono i Łódź.

Miała już 18 lat w 1945 r., kiedy z zakładowych głośników dowiedziała się, że zachęca się młodzież do wyjazdu na Zachód, bo i tam trzeba było uruchomić przemysł. Wybór padł na Zieloną Górę. Kiedy ma się 18 lat, łatwo podejmuje się trudne decyzje. Już w lecie 1945 r. wraz z kilkoma koleżankami wyruszyły z Łodzi etapami (koleją i przygodnymi samochodami) do Legnicy, a później do

Wróblina Głogowskiego. Podróż trwała kilka dni i obfitywała w wiele, często niebezpiecznych przygód. W Wróblinie znalazły się wraz z kobietą z piątką dzieci i zakwaterowały w opuszczonym budynku nastawni kolejowej. Trzeba było zdobyć nieco żywności i nabrać sił po trudach dotychczasowej podróży. I tu w tej nastawni przeżyły ponurą noc. Złożyli im „wizytę” rosyjscy maruderzy. Z trudem udało im się wyjść z opresji.

W dalszą podróż do Zielonej Góry udały się pieszo, niosąc dzieci i dobytek na plecach. Szły wzdłuż torów. Mijały opuszczone i rozbite transporty kolejowe, jeszcze nie zasiedlone miejscowości, które straszyły pustką. Toteż z ulgą dotarły do Zielonej Góry, w której byli już ludzie i placówka Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, mieszcząca się przy dzisiejszej ulicy Licealnej, w Szkole Podstawowej nr 6. Kobieta z dziećmi po serdecznym pożegnaniu powędrowała do podzielonogórskiej wsi, gdzie jej mąż zajął już wcześniej gospodarstwo rolne. Dziewczętom przydzielono mieszkanie przy ul. Akacyjowej. Tę część miasta zasiedlili osadnicy z Poznańskiego zajęcia uruchamianiem kolei. I ten czas p. Julia wspomina ciepło: ludzie byli bardzo sobie życzliwi, szczególnie kolejarze, ze względu na swą ruchliwość pomagali rozwiązywać problemy aprowizacyjne. A wtedy worek cebuli był na wagę złota.

Z pracą w Zielonej Górze nie było kłopotu. P. Julia znalazła ją w zakładach tekstylnych, które mieściły się przy ul. Moniuszki i Długiej. Przydało się jej łódzkie doświadczenie z zakładów „Union-Text”. Pracowała tu kilkanaście lat. Po wyjściu za mąż zajęła się wychowywaniem dzieci, których ma dwójkę. Córka po ukończeniu germanistyki na UAM w Poznaniu uczy języka niemieckiego w VII LO przy ul. Wyspiańskiego, syn pracuje w komendzie policji w Głogowie.

W międzyczasie zdobyła zaocznie średnie wykształcenie i ukończyła pomaturalne studium dla wychowawczyń przedszkoli w Sulechowie. To pozwoliło jej pracować aż do emerytury w przedszkolu przy ul. Moniuszki. I ta praca dawała jej wiele satysfakcji. Lubiła dzieci, a te się jej odwzajemniały. Na dowód tych szczególnych stosunków przytaczam napisany przez p. Julię wierszyk dla dzieci:

Ja mam słonie na balkonie
co się kiwają na ogonie
obiadek jedzą bardzo grzecznie
a jak spać to już konieczne
poduszkę muszą mieć puchową
kołderkę muszą mieć różową
bo to są bardzo grzeczne słonie
co się kiwają na ogonie

Są takie dzieci z przedszkola na ul. Moniuszki, które jeszcze dzisiaj ją poznają.

Wiesław Nodzyński



W Zielonej Górze przed pięćdziesięciu laty

15 lutego minęła pięćdziesiąta czwarta rocznica wyzwolenia Zielonej Góry spod hitlerowskiej okupacji. Do dzisiaj niewiele już mieszkańców miasta pamięta tamten zimowy kapturowy luty 1945 roku. Dla młodego pokolenia data 15 lutego jest już odległą historią. Były to trudne początki dla pierwszych polskich mieszkańców przybywających bezpośrednio po ustaniu działań wojennych. Przypadło im, pionierom Zielonej Góry, w udziale zaszczytne, choć nadzwyczaj trudne i odpowiedzialne zarazem zadanie repolonizacji oraz kształtowania miasta w ruchu polskich przemian społecznych. Trzeba było zapoczątkować dosłownie wszystko. Stworzyć zarząd miasta i jego podstawowe agendy, zorganizować pierwsze organizacje społeczne i polityczne. Zadbać o ciągłą pracę elektrowni i wodociągów, pomagać powstającym organom milicyjnym, zabezpieczać obiekty przemysłowe, zakładać niezbędne instytucje, uruchamiać szkolnictwo i służbę zdrowia, otwierać sklepy i warsztaty rzemieślnicze.

To zresztą zaledwie tylko jeden z wycinków pionierskiej działalności utrudnianej brakiem potrzebnej kadry fachowców. Ponadto należało w kolektywnym współdziałaniu opracować polskie nazewnictwo ulic i placów, pomagać w wydobyciu węgla brunatnego z pobliskiej kopalni w Słonem, stanowiącego paliwo dla elektrowni. Postój, chociażby podczas jednej szychty groził, pogrążeniem Zielonej Góry w całkowitych ciemnościach.

W ówczesnych zielonogórskich warunkach Salomon, chociaż mędrzec, załamałby zapewne ręce. Ale polscy osiedleńcy powracający po wiekach do grodu praojców, ludzie zahartowani w srogich przeżyciach wojennych, przekonani o słuszności polskiego bohaterstwa i pracowitości, pełni ofiarne go zapалу, wyróżniający się szerokim rozmachem w podejmowaniu inicjatyw i śmiałych koncepcji, wbrew przysłowiowi potrafili: „nalać z pustego”, innymi słowy tworzyć z niczego trwałe podwaliny nowej rzeczywistości miasta. Po prostu pojęcie „niemożliwości” było im obce. Wspólnym wysiłkiem przełamaliśmy trudności.

Ówczesny przemysł w Zielonej Górze był raczej skromny, zaś zakłady niemal całkowicie zdewastowane, lecz doprowadzenie do stanu sprawności produkcyjnej miało znaczenie gospodarcze dla kraju.

Realizacja tego zadania wymagała bliższych kontaktów z innymi miastami i miasteczkami, a także z większymi wsiami, ze względu na konieczność odszukania maszyn i części do nich wywiezionych przez Niemców z Zielonej Góry i rozproszonych po różnych „dziurach”. W Zielonej Górze, bezpośrednio po wkroczeniu oddziałów Armii Czerwonej (w samą środę popielcową), z ramienia komendatury radzieckiej pełnił funkcje burmistrza działacz komunistyczny Franz Laube,

z którego rąk 6 czerwca 1945 r. przejął władzę, pierwszą w powojennych dziejach miasta, polski burmistrz Tomasz Sobkowiak – działacz samorządowy z Leszna.

Od tego pamiętnego momentu poczęły kształtować się bezpośrednie stosunki pomiędzy komendanturą radziecką a ekspozyturą Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów oraz Samorządem Miejskim.

Burmistrz i jego zastępca Wiesław Wielgosz wraz z zespołem podległych im pracowników, wówczas zaledwie w liczbie czterech: Anny Włodarczak, Józefa Piszczka, Józefa Krystka i Ferency – zwracali się w sprawach miasta do komendatury zazwyczaj za pośrednictwem ekspozytury KERM.

Po paru dniach pełnomocnik Paszyński wraz z odpowiedzianymi pracownikami został zaproszony przez generała Borisowa na naradę roboczą mającą ustalić procedurę formalnego przekazywania przez stronę radziecką zielonogórskich zakładów przemysłowych władzom polskim.

W pierwszym rzucie postanowiono objąć między innymi dzisiejszy browar, Zakłady Szczecińsko-Szczotkarskie, Winiarnię, Zastal, Polską Wełnę, Zgrzeblarki, Zakłady Monopolowe i inne. Wszystkie dokonywane czynności przejmowano protokołarnie. Z ekspozytury wyznaczono do komisji Kazimierza Malickiego, Nikodema Kotlarskiego, Zofię Karneczką, Jana Nowackiego i innych.

Przejmowane obiekty były silnie zdewastowane, pełne gruzu, pozbawione maszyn, które pod koniec działań wojennych wywiezione zostały przez Wehrmacht i Ruskich. W Zastalu w hali konstrukcyjnej pozostały jedynie wysokie stalowe elementy w kształcie ogromnych cygar. W halach browaru magazynowane były części obrabiarek do produkcji łodzi podwodnych produkowanych na terenie Zielonej Góry i w Zastalu. Były to niedokończone dzioby okrętów podwodnych przeznaczonych dla stoczni w Świnoujściu. W Polskiej Wełnie zamiast krosien leżały na podłodze stosy metalowych puszek na amunicję. W browarze nie było pasów transmisyjnych, słodu, chmielu, węgla, wody, zagwożdżono studnie. Jedynie w szczotkarni prawie wszystkie pomieszczenia zapchane były wiązkami szczecin i włosia. Komendantura radziecka dopomogła przy uruchamianiu w mieście pierwszych piekarni. Dzięki ich pomocy udało się sprawnie zlikwidować początkowe trudności hamujące normalizację warunków bytowych w Zielonej Górze.

W związku z demobilizacją od sierpnia opuszczały z wolna Zieloną Górę poszczególne jednostki Armii Czerwonej. Aby jednak miasto nie zostało całkowicie pozbawione ochrony wojskowej, nadciągnął oddział Wojska Polskiego, który zakwaterował się w budynku przy ul. Drzewnej. Natomiast obiekty przy ul. Wazów zajął przejściowo Polski Szpital Wojskowy.

Ponieważ w mieście znajdowała się zaledwie jedna kwalifikowana pielęgniarka polska Konstancja Narusiewicz, która wywieziona do Zielonej Góry na roboty przymusowe, po wyzwoleniu nadal tu pozostała pomagając w organizowaniu służby zdrowia, dlatego mieszkańcy korzystali niejednokrotnie z pomocy siostr szpitala wojskowego, podobnie jak z porad lekarzy wojskowych.

cdn

luty 1999 r.

Stanisław Pralat

„Gdy myślę Ojciec”

Osiedlenie się mojej rodziny właśnie tu w Zielonej Górze, na Ziemiach Zachodnich czy Ziemiach Odzyskanych, jak się to wówczas mówiło, było dziełem przypadku. Ojciec mój swoje wspomnienia, młodość i większą część życia pozostawił na terenach poznańskich. Tam były Jego korzenie i do przeżyć z tamtej rzeczywistości sięgał najczęściej.

Niewiele wiem o swoich przodkach. Szukam śladów w tym, co pozostało po Ojcu, o czym pamięta moja jedyna siostra i w skrawkach rozmów, jakie zachowałam w pamięci. Wśród wielu zapisanych zeszytów nutowych znalazłam brulion zapamiętane równiutkim, jak zawsze, kaligraficznym pismem Ojca.



Exlibris wykonany przez Romana Mazurkiewicza.

Rozpoczęty u schyłku życia „Pamiętnik”, wypełniony niestety nie do końca, na 1194 stronach zawiera wiele wspomnień bardzo osobistych, rodzinnych, czasem poetycko niemal opisujących ojcowskie „Kresy”.

„... Urodziłem się w dniu 30-tym sierpnia roku 1887 we wsi Panigródz, położonej w pół drogi między miasteczkami Kcynią a Gołańczą, w powiecie wągrowieckim, województwo poznańskie. Prastara polska i z urodzajów swych słynna ta ziemia pałucka należała wówczas do zaboru pruskiego. Niemcy pieczołowicie starali się zacierać na ziemiach polskich wszelkie ślady polskości, stąd też i Kcynia nazywała się Exin, Gołańcz zaś Gollantsch, Wągrowiec Wongrowitz, a dzisiejsze województwo poznańskie Prowinz Posen. O ile sobie przypominam, wieś Panigródz wówczas jeszcze posiadała swą dawną polską nazwę, a tylko majątność po moich dziadkach, nabyta przez Niemca Fischera, a położona przy bitej drodze wiodącej do Warpna zmieniła swą nazwę na Dominium Frauengarten.”

Odnalazłam też krótki zapisek o moich pradziadach: „... Ojciec mój, tak jak ja, zwał się po imieniu Roman i był najmłodszym dzieckiem Karola i Emilii z Beckerów Mazurkiewiczów. Pradziad mój nosił imię Walenty, a żoną jego była Jacenta...”

Dziadek, podobnie jak mój Ojciec, był człowiekiem wyjątkowo pracowitym. Maturę zdał w liceum we Wrocławiu, a studia rolnicze z wynikami „wybitnie pilne” lub „doskonale pilne” z 88 (!) przedmiotów ukończył w Gryfii w 1859 roku.

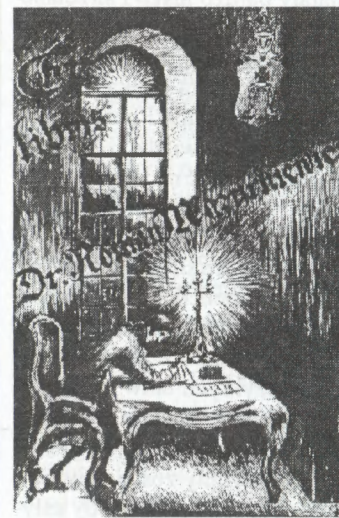
We wspomnieniach Ojca nie brakuje też akcentów patriotycznych: „... Całe okoliczne ziemiaństwo bywało w gościnnym domu Mazurkiewiczów w Panigródzu i odwrotnie. Szczególnie przyjacielskie więzy łączyły nas z domem Libeltów w Brdowie. Pewien szlachcic w liście pisanym do mego dziadka

donosił o tym, że młody Karol Libelt (słynny filozof i matematyk) jako uczestnik powstania z roku 1831, ranny w bitwie pod Brdowem, pozostaje w dobrym ukryciu i dobrej pielęgnacji lekarskiej w dworze pewnego ziemianina. W owym liście prosił piszący, aby mój dziadek Karol, jako bliski sąsiad, zawiadomił rodzinę Libeltów, że młody pan Karol został znaleziony na polu bitwy razem z bratem mego dziadka i że obaj „rycerze” wrócą do swych domów skoro tylko stan zdrowia na to pozwoli. Istotnie też nieco później Karol Libelt wrócił, ale sam. Mój dziadek-stryjek bowiem udał się do Warszawy, gdzie założył fabrykę powozów i dorobił się fortuny. Z tej gałęzi Pobogów-Mazurkiewiczów wywodzi się Władysław M. – lekarz przyboczny Piłsudskiego oraz Tadeusz M. – dyrektor opery warszawskiej.”

O tym pierwszym znalazłam wzmiankę pióra Wincentego Rzymowskiego w wydanej w 1934 roku książce pt. „Idea i czyn Józefa Piłsudskiego”, gdzie czytamy:

“... Sulkiewicz, prawdziwy geniusz wynalazczości, gdy chodziło o zmylenie władz zaborczych, wszedł w porozumienie z Władysławem Mazurkiewiczem, początkującym wtenczas lekarzem petersburskim, a późniejszym profesorem Uniwersytetu Warszawskiego w Polsce odrodzonej. Dzięki wpływom ojca, Mazurkiewicz otrzymał stanowisko lekarza w szpitalu św. Mikołaja. Pierwszy dyżur jego przypadł w dniu 13 maja 1901 r., lecz już przedtem, dzień po dniu, przynosił on do szpitala w teczce obuwie, ubranie, palto i inne części garderoby... Gdy nastąpił dzień dyżuru doktora - pierwszy i zarazem ostatni - o godzinie 8-ej wieczorem kazał on posługaczowi sprowadzić do swego gabinetu Piłsudskiego, dając pozór, że chce go zbadać.

Towarzysz Wiktor przebrał się szybko w ubranie przygotowane przez Mazurkiewicza, w chwilę zaś potem tylnym wyjściem przez podwórze wydostali się obaj na ulicę i wsiedli w pierwszą spotkaną dorożkę. Doktor kazał jechać na ulicę Morską, nagłąc o pośpiech.



Exlibris wykonany przez Romana Mazurkiewicza.

Dorożkarz zaciął konia, lecz wychudzona szkap le-dwo się wlokła. – Tobie trupy wozić, nie żywych ludzi! – zaklął w pasji Mazurkiewicz. Piłsudski natomiast był spokojny i uspokajał nawet swego wybawcę...”

Drugi – Tadeusz – jak już wspomniałam, dyrektor opery warszawskiej, doczekał się „kwestii” w operetce „Żołnierz królowej Madagaskaru”. Stąd bowiem pochodzi powiedzenie „Mazurkiewicz bój się Boga”.

Po wojnie rodzina Mazurkiewiczów w Zielonej Górze liczyła 6 osób. Pozo-

stałyśmy we dwie – siostra i ja. Mój bratanek, ochrzczony został imieniem Roman po swoich: pradziadku, dziadku i ojcu. Mam nadzieję, że Jego syn Andrzej podtrzyma tradycję Romanów w rodzie Mazurkiewiczów.

Zdzisława Kraśko

MOJE WOJENNE LOSY

ciąg dalszy

Niedziela była dniem, który odróżniał się od innych. Szło się do kościoła. Żeby było uroczystiej, dbało się też o odświętne uczesanie. Chciałam, żeby młodsza siostra ładnie wyglądała. Umyłam jej włosy i zakręciłam loki. Żeby się dobrze trzymały, dodałam do wody cukru. Zrobiłam to wieczorem. Wybieramy się do kościoła, rozkręcam loki, a tu niespodzianka – w wodzie było za dużo cukru i włosy tak się usztywniły, że zamiast loków były na głowie rury. Trzeba było myć głowę i tyle z loków. To była rozpacz.

Był rok 1944. Mamusia z braciszkiem była już w domu. Alarmy wzmagaly się. Były już nie tylko po południu, ale również w nocy. Schronów w pobliżu nie było. Ludzie kryli się w piwnicach. Ze względu na stan zdrowia mamusi zostawiliśmy w domu. Pamiętam, że całym ratunkiem dla nas był obraz serca Pana Jezusa, który mamusia zdejmowała ze ściany. Przed nim modliliśmy się: „Kto się w opiekę”, „Pod Twoją obroną” i mówiliśmy różaniec.

Pierwszą moją czynnością przed rozpoczęciem alarmu było obłożenie budki wózka małego braciszka większymi rzeczami i ubraniami, żeby tym sposobem zagłuszyć bombardowanie. Po alarmie obowiązkowo słuchaliśmy „muzyki” – był to świst odłamków. Po jakimś czasie spadały na ziemię w postaci brył miedzianych. Trzeba było kryć się w domach, bo z siłą, z jaką spadały na ziemię, mogły zranić, a nawet zabić człowieka. Raz taki odłamek uderzył w nasze drzwi. Dziura została w nich wyrwana. Kule te były wystrzelane z dział wojskowych do samolotów. Rozerwane utrzymywały się w powietrzu do chwili opadnięcia na ziemię.

Przed zakończeniem wojny, tzn. przed frontem, trudno było pokazać się na ulicy. Samoloty latały bardzo nisko i strzelano do każdej ruszającej się istoty. Było ostrzeżenie, żeby nie wychodzić na ulicę. O tym też wiedziałam, ale w domu nie było co jeść. Wszyscy głodni. Nie było dla dziecka mleka. Ukradkiem wzięłam kanek na mleko, torbę na zakupy i poszłam do sklepu, żeby coś kupić do jedzenia. Tatusi opowiadał, że jak był na wojnie, to w czasie strzałów kazali się kłaść na ziemię, uciekać do rowów. Mając to na uwadze, wyruszyłam cichaczem z domu. Daleko do sklepu nie było, ale szłam długo, bo boczną drogą. W dodatku, gdy usłyszałam zbliżające się samoloty, kładłam się na ziemię plackiem. Takim sposobem doszłam do sklepu. W sklepie nikogo nie było oprócz sprzedawcy. Sklepowy był zaskoczony, że przyszedłam. Gdy wróciłam z zakupami do domu, musiałam wysłuchać wielu przykrych słów od rodziców. Jednak po chwili to, co przyniosłam, zostało zjedzone. Dziecko dostało mleka.

Dwa tygodnie przed zakończeniem wojny zostaliśmy ulokowani w piwnicy. Szedł front. Była okropna walka. Gdy usłyszeliśmy oddalające głosy strzałów, szło się szybko do mieszkania, żeby coś stamtąd przynieść do jedzenia. Po dwóch tygodniach przebywania w piwnicy, weszli żołnierze radzieccy. Dali polecenie, żeby wychodzić. Zaskoczeni spoglądaliśmy jeden na drugiego, bo oni mówili po rosyjsku. Niepewnie zaczęliśmy wychodzić. Okazało się, że to jest koniec wojny. Był maj 1945 roku, miałam wtedy 12 lat. Wiele strachu przeżyły dziewczęta i kobiety. Mężczyźni zostali pozbawieni zegarków, rowerów. Sprawę łagodził komendant. Gdzie komendanta zabrakło, było niewesoło.

Nadszedł czas wyjazdu do Polski. Stacje kolejowe zbombardowane. Najbliższa stacja kolejowa, która nie była zbombardowana, była 50 kilometrów od miejsca zamieszkania. A więc zaczęło się cygańskie życie. Spakowaliśmy najważniejsze rzeczy: odzież, pościel, trochę żywności. Szło się pieszo. Po drodze zatrzymywaliśmy się, gdzie bądź, żeby trochę odpocząć. Czasem przygarnęli nas życzliwi ludzie. Szła nas liczna grupa obcokrajowców, którzy pracowali w Niemczech. Szliśmy kilka dni do wyznaczonej przez Rosjan stacji. Jeszcze nie zdążyliśmy odjechać, a już nas okradziono. Zabrano nam walizkę z żywnością. Głód dał znać o sobie. Trzeba było udać się na poszukiwanie żywności do pobliskich zabudowań. Poszłam z tatusiem. W domu, do którego weszliśmy, była nasza walizka, ale była pusta. Jak się okazało, żołnierze przyszli z tą walizką do tych ludzi, najedli się, resztę jedzenia wzięli ze sobą i poszli. Pustą walizkę zostawili. Gospodarze domu byli na tyle życzliwi, że tę walizkę nam oddali i napełnili ją żywnością.

Za okazanymi dowodami dostaliśmy bilety, które upoważniały do jazdy pociągiem. Nie wolno nam było jechać tam, gdzie chcieliśmy, tzn. w swoje rodzinne strony. Miejscem zbiórki wszystkich obcokrajowców pracujących w Niemczech był Wrocław. Zbierani tam byli wszyscy ci, którzy pracowali tam, gdzie weszli Rosjanie. Natomiast pracujący na terenach zajętych przez Anglików mogli jechać, gdzie chcieli, tzn. do swoich domów, dowolnym pociągiem, w dowolnym czasie, nawet za granicę. Anglicy ułatwiali tym ludziom dojazd do pociągów, pomagali finansowo. Było wiele przypadków, że młodzi, którzy poznali się w Niemczech, pobierali się i dopiero wyjeżdżali jako młode małżeństwo. Anglicy finansowali uroczystości weselne i w tym pomogli. My byliśmy w bardzo krytycznej sytuacji.

W Breslau (to był Wrocław) zapełniono nami duże koszary. Tam byliśmy pilnowani przez Rosjan. Była dokładna rejestracja. Nie wolno było wychodzić za ogrodzenie. Było ostrzeżenie, że rodzice będą surowo karani, jeśli będą wychodzić dzieci. Zagrożono nawet, że będą strzelać za brak dyscypliny. Byli tam: Polacy, Chorwaci, Francuzi i inni. To miejsce nazywaliśmy lagrem.

Pewnego dnia wraz z koleżanką wyszliśmy dziurą w płocie na zewnątrz. Było nasze wielkie zdziwienie, bo tu ludzie mówili tylko po polsku. Nasza radość trwała krótko, bo musiałyśmy wracać w obawie, że mogą rozstrzelać rodziców. Koszary były przepełnione rodzinami, osobami samotnymi. Był koniec wojny, a tu człowiek siedzi jak w więzieniu.

Pewnego czerwcowego dnia 1945 roku zrobił się wielki ruch. Uprowadzono nas, że rano następnego dnia będziemy wywożeni samochodami na stację. Tam stał pociąg towarowy-węglowy, kilkadziesiąt wagonów. Wszyscy byliśmy wpisani na listę. Dokładnie było to sprawdzane – nikogo nie zabrakło w spisie. Nie brano pod uwagę, skąd kto był. Braciszek był bardzo chory, więc skreślono go z listy i kazano zostawić. Zrobiono to już wieczorem. Mamusia powiedziała, że dziecka samego nie zostawi – i to było słuszne. Z trudem wyrażono zgodę na jego wyjazd. Ale już tej nocy mamusia z dzieckiem została ulokowana w pomieszczeniu, które przeznaczono było dla chorych. Na tej sali była sama mamusia z dzieckiem. Nam nie wolno było tam iść. Kazano nam się już pożegnać wieczorem, bo rano, jak wspominałam, mieliśmy być wywożeni na stację kolejową do transportu – oczywiście według listy.

Czułam jedno, że gdy się rozdzielimy, już nigdy w życiu się nie zobaczymy. Chociaż obiecywano nam, że mamusia do nas dołączy, nigdy w to nie wierzyłam i teraz jestem pewna, że tak by było, jak to odczuwałam.

Jak już wspominałam, byłam na liście i beze mnie jechać nie mogli i nie pojechali. W koszarach była tylko nasza rodzi-

na. Przypominałam tatusiowi o relikwiach świętej Teresy od Dzieciątka Jezus, z których to ja doznałam cudu odzyskania wzroku. Tatusi potarł więc brata relikwiami, zostawił je na jego piersi, pomodliliśmy się i poszliśmy spać. Rano przyszedł lekarz zbadać dziecko i powiedział, że można z nim jechać. Transport jeszcze nie odjechał i nas dołączono do niego. Zostaliśmy ulokowani w wagonie węglowym, jak wszyscy. Wagon drugiej klasy był zajęty przez matki z dziećmi. Brat był małym dzieckiem i w dodatku chorym, a tu pada deszcz, lało na nas. Gdy świeciło słońce, to świeciło, gdy wiał wiatr, to wiało za mocno na dziecko. Ja nie mogłam tego znieść, że dziecko nie ma dachu nad głową.

W związku z tym, że tatuś nie mógł załatwić, żeby mamusia z dzieckiem była pod dachem, udałam się osobiście w tej sprawie. Najpierw pytano mnie, czy mam rodziców – nie zaprzeczyłam, ale dopięłam swego. Znalazło się miejsce w wagonie drugiej klasy, ale było trochę kłopotów, bo wszystkie miejsca



Zofia Malinowska, lat 12. Wiedeń-Essling 1944 r.

były zajęte. Ustąpić miejsca musiała kobieta z dużą dziewczynką. Mamusia z bratem przeprowadziła się pod dach. Na podłodze spałam ja. W wagonie węglowym było więcej miejsca, był to duży sukces.

Przydział żywności był zbyt mały, żeby się wyżywić. Trzeba było zdobywać, co się da. Pewnego dnia, gdy transport stał, wiele osób oddało się w poszukiwaniu żywności. Transport ruszył (nigdy nie uprzedzano, kiedy i jak długo będzie postój, kiedy rusza z miejsca). Ludzie biegiem pospieszili do wagonów. Jedna pani na widok, że transport jedzie, stanęła jak wryta i nie ruszyła z miejsca. Nie usiłowała wsiąść, chociaż podawano jej rękę. Wiele osób wsiadło w biegu. Transport ruszając nie jechał zbyt szybko, ale jak już ruszył, pędził kilka godzin bez przerwy. Mąż tej pani widząc, że ona nie wsiadła, a pociąg przyspiesza biegu, wyskoczył z pociągu i został z nią. W pociągu zostało czteroletnie dziecko bez opieki. Zgłoszono to kierownikowi transportu. Doszli do wniosku, że ja sobie z tym dzieckiem dam radę. Odszukali mnie i powierzyli opiekę nad tym dzieckiem. Opiekowałam się nim trzy doby. Pociąg odjechał kawałek drogi i rodzice dziecka musieli dojechać kombinowanymi pociągami. Trzeba było znać numer swego pociągu, tzn. transportu, to na stacji dawano dokładne informacje, jakimi pociągami można dogonić swój transport. Transport nie jechał, tak samo jak pociągi osobowe, bo nieraz stał na bocznych torach. To w sumie przedłużało godziny przejazdu. Muszę przyznać, że nawet dobrze radziłam sobie z tym dzieckiem w wagonie sanitarnym. Tam byłam do powrotu tych rodziców. Byli mi za opiekę wdzięczni i nawet dostałam prezent.

Przygotowanie posiłku dla siedmioosobowej rodziny było kłopotliwe i wymagało wielu starań. Trzeba było bowiem zdobyć produkty, a z nich przyrządzić stawę. Robiło się to nie wówczas, kiedy człowiek był głodny, ale czekaliśmy, aż transport zatrzyma się gdzieś w możliwym do wysiadania miejscu. Nadarzyła się okazja. Zabrałyśmy się z mamusią do roboty. Z jakichś kamieni, resztek cegły przygotowałyśmy obudowę do stawiania garnka. Pod tym zapaliliśmy ogień, jak wielu innych ludzi. Obrane ziemniaki już się gotowały. Czekano na nie kilka głodnych osób. Obok była kanka z wodą, jakieś jeszcze potrzebne przybory. Nagle usłyszeliśmy gwizd lokomotywy i trzask wagonu o wagon. Od razu zrozumieliśmy, że nasz transport będzie odjeżdżał. Nigdy nie uprzedzano nas, jak długo będziemy stać. Transport ruszył. Wszyscy wpadliśmy w panikę. Niektórzy zostawili gotujące się na ognisku stawy. Słychać było tylko płacz i lament. Już do jadącego wolno pociągu zaczęliśmy wsiadać. Mamusia była gotowa zostawić te ziemniaki, bo, jak twierdziła, nie będzie z nich pożytku, bo były niedogotowane. Obie skrzętnie zbierałyśmy pozostałe rzeczy, które stawałyśmy w wagonach. Pociąg jechał wolno. W sumie każda rzecz znalazła się w innym wagonie. Żal mi było ziemniaków, bo wszyscy byliśmy głodni, a każdy produkt był trudny do zdobycia. Chwyciłam garnek z gotującymi się ziemniakami i wsadziłam go do zbliżającego się wagonu. Życzliwi ludzie nikomu pomocy nie odmawiali, więc i mój garnek też przyjęto. W końcu znalazłam się w jeszcze innym wagonie, a mamusia też w innym. Jakoś dzięki Bogu do wolno posuwającego się transportu zdążyliśmy wsiąść wszyscy. Jechaliśmy tym razem krótko. Przepychano nas na inne tory. Wagony mocno stuknęły jeden o drugi. Gdy pociąg stanął, każdy szukał swoich „skarbów”. Ja też, jak inni, udałam się na wędrowną. Szłam od wagonu do wagonu i pytałam, czy tu czasem nie ma moich garnków. Wszystko szło sprawnie do chwili, gdy nie natrafiałam na wagon, gdzie zostawiłam te ziemniaki. Tu życzliwość ludzka przysła. Z biedą oddali mi pusty garnek – ziemniaki były podeptane, bo przy stukaniu wagonów garnek wywrócił się, a biedni mieszkańcy tego wagonu poparzyli sobie nogi. Nasłuchałam się, aż mi uszy wiodły. Myślałam tylko, co będzie z moim garnkiem, czy go odzyskam z powrotem. Żal mi było podeptanych ziemniaków. Wyglądało na to, że garnka nie dostanę. Nie byłabym wcale zaskoczona, gdybym dostała nim po głowie. Do swojego wagonu dotarłam z całym majątkiem, tylko bez ziemniaków.

Radość była ogromna pewnego dnia, bo transport stanął w polu, gdzie rosły porzeczki i młode ziemniaki. Wszyscy, jak szarańcza, wylegliśmy na pole. Krzaki ziemniaków zostały powyrywane, a ziemniaki wybierane. Dzieciarnia wyruszyła na porzeczki, ja również. Nie miałam, w co zbierać, więc chwyciłam w garść brzeg fartuszka i zaczęłam je zbierać, ile się dało. Nagle dał się słyszeć gwizd lokomotywy, trzask wagonów i transport ruszył. Wszyscy pobiegli w stronę pociągu. Kurczowo trzymając zdobycz biegłam w kierunku transportu, jak wielu innych osób. Nagle poczułam ból w lewej nodze. Zrobiło mi się słabo. Z osłabionych rąk wysunął mi się brzeg fartuszka i to, co z radością zerwałam, zostało na ziemi. Jak się okazało, z ziemi wystawał pałak drutu. Przez pośpiech i nieuwagę stąpnęłam jedną nogą na brzeg drutu, drugi koniec wbił mi się w nogę koło kolana. Zobaczyłam na końcu drutu kawałek ciała. Czułam tylko, jak ktoś mnie ciągnie do wagonu. Dopiero w wagonie spojrzałam na nogę – dziura była biała jak pozostałe ciało. Po chwili zaczęła być kolorowa, a potem popłynęła krew. Udzielono mi pierwszej pomocy. Gdy transport stanął, znalazłam się w wagonie sanitarnym. Do dziś mam bliznę i wyczuwalny brak ciała w tym miejscu.

Na wodę w strumyku albo jakieś jeziorko czekaliśmy jak na

zbawienie. Było wówczas mycie i pranie. Czasem udało się nawet podsuszyć niektóre rzeczy na dworze, a resztę w wagonie.

Nie pamiętam, gdzie to było ogłoszone, że będzie kontrola wiezionych rzeczy. To wyglądało tak, że dokładnie przeczesano bagaże i w konsekwencji zabierano, co było najlepsze z tych rzeczy. Niektórym zabrano więcej. Pamiętam, że tatusiowi zabrano najlepsze spodnie. Nie pomogły prośby, upokorzenia. Nie przypominam sobie, czy coś więcej wzięli.

Na pewnej stacji stanęło dużo pociągów. Obok naszego transportu stanął pociąg z wojskiem radzieckim. Jak już wspomniałam, jechaliśmy w wagonach węglowych, więc wejście do nich nie było trudne. Spałam w wagonie drugiej klasy z mamusią i braciszkiem, to był wagon kryty. Rano dowiedziałam się, co było w nocy. Wojsko zagościło w naszych wagonach. Najbardziej ucierpiały kobiety i młode dziewczęta. Wiele mężczyzn było bezradnych.

Jechaliśmy przez Węgry i Czechosłowację. Tamtejsi ludzie wychodzili z produktami żywnościowymi i wymieniali za różne rzeczy, nie za pieniądze. Mamusia np. za bluzkę dostała kubek mleka dla dziecka.

Podróż przedłużała się. Uszkodzone tory, tunele utrudniały jazdę szczególnie w Czechosłowacji. Zrobiono tory zastępcze, które były bardzo niebezpieczne i uciążliwe. Trzy lokomotywy przeciągały po kilka wagonów przez góry. Jedna lokomotywa ciągnęła wagony z przodu, druga była w środku, a trzecia z tyłu. To trwało bardzo długo. Ciągnięto nas z powrotem, bo okazało się, że dalej tory były jeszcze bardziej uszkodzone i to już na dłuższej trasie. Nie było szans na ich zreperowanie. Dowiedzieliśmy się, że zaplanowano wywieźć nas na Sybir. Z planów zrezygnowali i pociąg został skierowany na Rzeszów przez Kraków.

Zdrowie braciszka pogarszało się. Po wielu prośbach i poniżeniach odłączyliśmy się od transportu w Krakowie. Stamtąd do naszego miasteczka Brzostek było około 100 km. Gdy po długiej wótczędze, dojechaliśmy na miejsce, z daleka zobaczyliśmy jakiś komin. Jak się okazało, była to wież kościelna, która się zmniejszała, bo paliła się. Pożar zakończył się, gdy paląca się wieża wpadła do środka kościoła, upadając płomień zgasił. Dowiedzieliśmy się, że tu przechodził front. Ludzie zostali wysiedleni za Wisłę. Nasz dom też był zniszczony. Drzwi i okna były bez futryn. Okna i drzwi można było zastąpić kocem. Było to i tak lepsze schronienie niż wagon węglowy. Nie było szans ani na fundusze, ani czasu na odnowienie domu. Lepszą część domu zajęła gmina w czasie naszej nieobecności. Zbliżał się wrzesień, czworo z nas we wrześniu musiało iść do szkoły. Zmuszeni byliśmy szukać dachu nad głową. Rozpoczęła się ponowna tułaczka.

Znaleźliśmy się w Starym Kisielinie koło Zielonej Góry, tu zamieszkaliśmy. Ja i trzy siostry poszłyśmy do szkoły. Był pierwszy wrzesień 1945 rok. Kierownikiem szkoły był młody, utalentowany nauczyciel – Jakub Warchoń. Poza tym, że uczył nas, umiał zorganizować wspaniałe występy o charakterze głównie patriotycznym. Mnie zobowiązał do szybszego tempa w nauce. Kończyłam w jednym roku dwie klasy.

Pracy było wiele, bo trzeba było się uczyć, pomagać w domu i zawsze dawano jakąś rolę do uczenia się na przedstawienie. Czas mijał szybko wypełniony obowiązkami po brzegi. Mamusia była zapracowana i nie miała czasu przygotowywać nam strojów. Wzięłam więc jej obowiązki na siebie. Przedstawienia były okolicznościowe i okazyjne. Piękne i wzruszające było przedstawienie, jak Polska zrzuca kajdany i następuje błoga, szczęśliwa chwila. W tym przedstawieniu ja i młodsza siostra Maria byłyśmy dziećmi pewnej rodziny, a starsza siostra Helena była Polską. Miała piękne długie warkoczki, więc je rozpuściła. Ubrana była w biel i czerwień, na rękach miała kajdany

(był to łańcuch). Przy słowach: „Polska zrzuca dziś kajdany, wolność wam niosę” – zrzuciła z rąk łańcuch, który z wielkim hukiem upadł na podłogę – wzruszenie było ogromne, nie do opisanie. Na scenie za kotarą była Polska i Matka Boska. Przed kotarą było mieszkanie. Cała rodzina modliła się o wolność, o koniec wojny. W pewnym momencie rozsunęła się kotara i ukazała się Matka Boska – wówczas Polska zrzuciła kajdany. Sam kierownik śpiewał piosenki i prowadził słowa wiążące. Siostra Teresa była Śmiercią na polu bitwy. Stała na taborecie owinięta w prześcieradło i z kosą w ręku. Wyglądała jak prawdziwa śmierć. Przed nią leżeli zabici żołnierze. Byli to młodzi chłopcy owinięci w wojskowe płaszcze. Wyglądało to tak, jakby jeden był bez ręki, inny bez obu rąk, nóg i głowy. Po scenie chodził chłopiec, zapytany przez śmierć, co tu robi, odpowiedział: „szukam tatusia”. Śmierć mówi: „Patrz! przeorane to pole chwały moimi ciosy, ja go skosiłam jak kłosa dojrzały ostrzem mojej kosy”. Chłopiec zrozpaczony płacze, ale nie ustępuje i dalej szuka ojca. Ze sceny słychać śpiew kierownika szkoły: „Ach kiedyż wyklujęm strudzeni oracze świat pełen pałaszów skrwawionych, ach kiedyż na ziemi już nikt nie zapłacze, przez rosy łąk naszych zielonych”. Nie sposób wszystkiego opisać, ale było to wielkie wydarzenie – cenne szczególnie dlatego, bo był to pierwszy rok nauki od zakończenia wojny. Uroczystość był również obchodzony Dzień Matki.

Pod koniec roku szkolnego 1945/46 zrobiło się bardzo smutno w szkole. Zabrakło najważniejszej osoby – kierownika szkoły Jakuba Warchoń. Nie miał kto nas uczyć pieśni i piosenek religijnych i patriotycznych, ucichło z występami. Nikt nam nie chciał powiedzieć, co się z nim stało. Zniknął bez śladu. Chwilowo zastępowała go jedna z nauczycielek – pani Wanda Prajsner. Wkrótce przyszedł nowy kierownik pan Barański. Zaraz zniknęły ze ścian w klasach krzyże, nie wolno nam było śpiewać piosenek religijnych. Smutno zakończył się rok szkolny 1945/46.

Do tej szkoły chodziłam jeszcze rok. Szkołę podstawową zakończyłam klasą uzupełniającą, tj. otrzymałam świadectwo ukończenia podstawówki. W roku 1947 poszłam do szkoły średniej do Sulechowa.

Ze wzruszeniem wspominam pierwszy rok szkolny zaraz po wojnie, gdy kierownikiem był Jakub Warchoń. Darzę go szacunkiem i uznaniem za Jego wkład pracy dla nas, za ślad wychowania patriotycznego. Szkoda, że On tego nie może usłyszeć po upływie lat.

To, co napisałam, jest prawdziwym osobistym przeżyciem, tak jak mijały lata mego życia. Przeżycia zapamiętałam ze szczegółami. Przywiązanie do rodziny, naszej wiary, tradycji, do pięknego rodzinnego kraju, torowało mi drogę w życiu, dodawało sił do pokonywania niespodziewanych, trudnych sytuacji życiowych. Takie było moje dzieciństwo.

Zafia Malinawska

11 stycznia 1999 r. zmarł w wieku 78 lat

Wiktor Tadeusz

*członek Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry,
przyjaciel i współpracownik naszego pisma.*

Cześć Jego pamięci!

Był taki czas

2. Droga do obozu pracy – obozy przejściowe

Na punkcie zbornym dokonywano spisów, pamiętam, że proponowano, by zadeklarować dobrowolny wyjazd, wówczas rodzinie przekazał za pośrednictwem banku 200 marek. Nie wyraziłam takiej zgody. Ustawili nas trójkami, maszerujemy wolno, zatrzymujemy się przed przeciągniętą liną, tu zawieszają nam tabliczki z numerami na szyi i błyskawicznie fotografują. Zdjęcie owe, wraz z odciskiem kciuka znajdzie się na karcie pracy. A potem specjalnym pociągiem do Warszawy na ulicę Skarszewską, do nowoczesnej, przed wojną wybudowanej szkoły, o dużych oknach, a wewnątrz dwupiętrowe prycze z drucianą siatką, nigdzie żadnego materaca. Już wcześniej zebrał się tu transport z Łowicza. Na oknach parapetu stoją i prowadzą rozmowy z przybyłymi bliskimi.

Słyszę prośbę, a właściwie krzyki: – Tatulu, sprzedajta byczka, tego nie kolczykowanego i wykupta mnie. Taki wykup to 8 tysięcy złotych bez gwarancji, że za dni kilka znów nie znajdzie się na punkcie zbornym. Takie wypadki miały już miejsce, informują mnie starsze już na punkcie bywalczyń. Kobiety znajdują się na niższej kondygnacji budynku, a mężczyźni są nad nami, ale kontakt z nimi jest uniemożliwiony. Niektórzy wachmani tolerują rozmowy z okien z przybyszami na dziedzińcu, są za tę grzeczność sówicie wynagradzani, inni bezwzględnie odpędzają. Na dziedzińcu szkoły cisza, a na sali jedne milczą, drugie głośno rozpaczają. Snują się opowiadania, jak tu się kto dostał. Jest wśród nas dziewczyna w zimowym płaszczu, rannych pantoflach i nocnej koszuli. Opowiada, że wybierała się do kościoła, ale przypomniawszy sobie, że musi odebrać pantofle od szewca, sąsiada z parteru, narzuciła płaszcz, wówczas zetknęła się z uciekającymi przed łapaną do jej bramy. Nie pomogło, gdy pokazała, że ona tu mieszka, że jest w koszuli, wraz z innymi wepchnięto ją do budy. W kieszeni płaszcza miała portmonetkę z niewielką sumą pieniędzy, kenkartę i chusteczkę do nosa. Dla Niemców była i będzie przedmiotem pośmiewiska. Kto co mógł, dał jej z odzieży i tak wspólnymi siłami została ubrana. Ofiarodawczyni nie opłyała w przepychu, nie mogły liczyć na rewanż, udzieliły jej pomocy, by ustrzec ją od dalszych drwin. Moje rzeczy nie opowiadały jej rozmiarowi, dałam jej tylko chustkę na głowę.

Nie mogłam się już łudzić, że moim rodzicom uda się mnie wykupić, chciałam ich jeszcze zobaczyć i poprosić jeszcze o coś z odzieży: Przez okno wyrzuciłam kolejno trzy listy z moim adresem, niewielką sumą pieniędzy i prośbą do znalazcy, by zechciał doręczyć pod wskazany adres. Tylko jeden z nich dotarł i miałam jeszcze szczęście zobaczyć rodziców, niestety po raz ostatni w życiu. Zginęli w Powstaniu Warszawskim.

Pamiętam, jak przez dwa kolejne dni w południe zapędzano nas do auli i tam, chodząc wolno, gęsiego, byliśmy bacznie obserwowani przez niemieckiego oficera. Wybierał niebieskookie blondynki o rasie nordyckiej, podobny precedens miał miejsce u mężczyzn. Należało mieć przy sobie kartę, na niej osobom wybranym kreślił kółko. Jak potem dowiedziałam się, wybrańcy przeznaczeni na rozmnażanie rasy niemieckiej kierowani byli do obozu w Łodzi.

Otrzymywali tam stosunkowo dobre żywienie, były wie-

czorki taneczne, wszelkie warunki dla rozbudzenia i zaspokojenia popędu seksualnego. Ciężarne dziewczyny miały lekką pracę, ale gdy tylko urodziło się dziecko, zjawiali się godni, uznani przez organizację hitlerowską rodzice, którym powierzano na wychowanie dziecko. Po urodzeniu jednego lub dwójga dzieci przekazywano kobiety do domów publicznych bądź do obozów pracy. Jedną z nich znalazła się w obozie pracy, w którym byłam. Znerwicowana, milcząca, z czasem opowiadała mi o cierpieniach kobiet, którym odbiera się dzieci, ojca ich dzieci, o odczuciach nie zrealizowanego macierzyństwa, o tęsknotach i pragnieniach odnalezienia dziecka.

Pomyślałam wówczas, jak pochoinnie niektórzy zazdrościli owym wybrańcom, których przeżycia, szczególnie kobiet, muszą wpływać deformująco na ich psychikę, bo i w niej było coś nienormalnego, zachowywała się często dziwnie. Intuicyjnie bałam się, gdy ów oficer niemiecki bacznie mi się przyglądał, chyba z powodu jasnych, rozjaśnionych od słońca włosów, i cieszyłam się, że mnie nie zakwalifikował.

Przeżyciem urazowym była komisja lekarska, za stołem siedziało pięć osób, jeden piszący i czterech lekarzy różnych specjalności. Przed nimi należało przedefilować zupełnie nago, potem wejść na krzesło, były też badania fizykalne, zagłądano do gardła, zwracano uwagę na uzębie, badano płuca, serce, wątrobę, nerki, bacznie obserwowano skórę. Nie ziszczyły się moje ciche pragnienia, by być zdyskwalifikowaną, tylko nielicznych to spotkało. Wiele dziewcząt próbowało skarżyć się na różne dolegliwości, otrzymywały zapewnienia, że wyleczą ich na miejscu, niech tylko się zgłoszą. Symulancie nie udawało się. Równie przykre były przeglądy włosów, stawianie nago na krzesło, latarką zagłądano, czy nie ma wszy łonowych, niektóre dziewczęta, u których stwierdzono wszy, zostały ogolone do skóry i natarte płynem zwanym Cuprex. Będąc nago należało podać zawieszone na żelaznym wieszaku ubranie do pieca celem dezynsekcji. Mój płaszcz wełniany po tym zabiegu zruddział. Piec obsługiwał mężczyzna, dla mnie i dla wielu innych dziewcząt było to upokarzające przeżycie. Były też kąpiele pod natryskiem, ale nie było ręczników, nieliczne osoby je posiadały. Termin i kierunek transportu nieznany, spanie na drutach, o nasze żywienie nikt nie dbał.

Wreszcie którejś nocy, czwartej czy piątej, o godzinie drugiej zbudzeni wrzaskami, krzykiem Niemców, poganiani, jesteśmy ustawiani w ósemki, po każdej stronie jeden z niemieckich żandarmów, prowadzą nas na rampę kolejową. Mimo pośpiechu i ciemności zostałam, nie ja jedna, okradziona z części odzieży. Wchodzimy do pociągów pasażerskich, osobowych (inne transporty jechały w wagonach towarowych). Każdemu wręczają jeden chleb podsypyany trocinami i kostką sztucznego miodu. Każdy ma miejsce siedzące. W drodze do pociągu strzelano na postrach, tu w wagonach też są Niemcy w mundurach, ale jest ich stosunkowo niewielu. Wyruszamy, jedni płaczą, inni starają się ich pocieszyć, padają irracjonalne zapewnienia w rodzaju: – My zaledwie zdążymy zwiedzić Niemcy i wrócimy do domu, bo niedługo wojna się skończy. Żadne fakty jeszcze nie przemawiały za tym, ale łatwo można uwierzyć w to, co się pragnie, mimo powątpiewań.

Pociąg jedzie do przodu, to do tyłu, często staje na bocznicach, nie ma wjazdu, jest poza rozkładem jazdy. Gdy pociąg staje, udaje nam się otrzymać od pracujących na torach robotników nieco wody, po tym suchym chlebie i sztucznym miodzie odczuwamy szczególne pragnienie. Nie ma naczyni, ktoś podaje nam wodę w puszcze po konserwie bądź w butelce, to luksus, przyda się na następnym postoju.

PIŃSK – STOLICA POLESIA MA 1000 LAT!

część IV

Po upadku powstania styczniowego w narodzie nadal pozostała wiara w przyszłe odrodzenie Polski, jednak upadło zaufanie, że nastąpi to w niedługim czasie i na drodze czynu zbrojnego. Zaborcy byli zbyt potężni i w sprawie upadku Polski zgodni.

Pińsk od 1792 r. nadal pozostaje w Rosji, pod której rządami, w pierwszej połowie XIX w., upadał powoli, lecz systematycznie. Również sytuacja chłopów Pińszczyzny pogorszyła się. Poddaństwo w Rosji było cięższe niż w Polsce. Feudał rosyjski miał prawo zatrudniać chłopów do posług osobistych, wynajmować innym, a nawet sprzedawać. Szlachta polska nie była do tego przyzwyczajona i właśnie jej nastawienie, w pewnym stopniu, przyczyniło się do zniesienia w Rosji w 1861 r. poddaństwa osobistego. A jeden z pierwszych aktów prawnych wydanych przez rząd powstańczy, znoszący całkowicie pańszczyznę, politycznie wymusił zniesienie w 1863 r. wszelkich powinności pańszczyźnianych.

Aktywność społeczeństwa została skierowana na tak zwaną pracę u podstaw, rozwój cywilizacyjny w zakresie gospodarki, oświaty, kultury. W drugiej połowie XIX w. na ziemiach zabranych Polsce nastąpił przyspieszony rozwój przemysłu, oparty na nowej technice napędu – maszynach parowych, była to tak zwana rewolucja techniczna, która na ziemiach polskich nastąpiła ze 100-letnim opóźnieniem.

U progu XIX w. kształtowały się nowoczesne narody i społeczeństwa, nam tę szansę odebrały zabory. Rosja, aby podkreślić, że jest to już tylko jedna z rosyjskich prowincji, Królestwo Polskie nazwała w 1874 r. Krajem Przywiślańskim.

Pierwsze manufaktury powstawały w dobrach magnackich, a ponieważ były dochodowe, zaczęły powstawać również w miastach – rodził się kapitalizm. W Pińsku pierwszą manufakturę świec, mydła i gliceryny założono w 1836 r. w majątku Skirmuntów w Albrechtowie – przedmieściu Pińska. Rozrosła się ona w wielki zakład znany w całej Rosji a nawet w Europie.

W drugiej połowie XIX w. życie gospodarcze w Pińsku zaczęło się rozwijać, powstawały nowe fabryki. W 1880 r. bracia Louwie, z Austro-Węgier, uruchamiają fabrykę dykty i drewnianych gwoździ do butów. W 1884 r. Julia O'Brien de Lassi uruchamia nad brzegiem Piny zakład stocznio-mechaniczny, produkujący statki parowe. W 1892 r. Austriak Galperini uruchamia na ul. Brzeskiej fabrykę zapalek „Progres-Wulkan”. W 1865 r. małżeństwo Floresów wybudowało pierwszy szpital w Pińsku. W 1882 r. przez Pińsk przechodzi kolej żelazna, wybudowana z przyczyn strategicznych, jednak dała ona możliwość szybkiego przemieszczania dużych ilości towarów na znaczne odległości, co wpłynęło na rozwój gospodarczy miasta, gdyż uniezależniło od transportu wodnego, tańszego, ale pewniejszego w czas letnich upałów czy zimowych mrozów. Również właśnie w Pińsku powstały główne kolejowe warsztaty remontowe dla całej Poleskiej Kolei Żelaznej, zatrudniające 1000-1500 osób. Pierwsze pociągi na trasie Pińsk-Luniniec ruszyły w 1884 r.

Dworzec kolejowy, jakże ważny budynek w Pińsku. Nie popełnię większego błędu twierdząc, że każdego mieszkańca Pińska, a nawet znacznej części Poleszuków, łączą z tym obiektem silne wspomnienia radosne i smutne.

Moje wspomnienia to, od połowy lat 30-tych, przyjazdy do szkoły i powroty na ferie. Naturalnie bardziej pamiętam te ostatnie. Zaczynały się na ul. Mostowej przy moście na Pinie, żydowską dorożką za 1 zł, zimą lub w nie pogodę z postawioną budą i skórzanym ogromnym pokrowcem na kolanach. Przez plac 3-go Maja, ul. Piłsudskiego, Dominikańską i Honczarską na dworzec. Czasami oczekiwanie w sali restauracyjnej z błyszczącym bufetem i dużą palmą. Jazda pociągiem w 3 klasie (były 1, 2 i 3 klasa),

Drugiego dnia podróży pociąg klucząc znalazł się w Zbąszynku. Ktoś wyjrzał oknem, rozpoznał stację i zawołał: – Wiaruchna, toć to nasza przedwojenna polska granica. Nie wiadomo, kto pierwszy zaintonował, ale już wkrótce po całym pociągu rozbrzmiewała Rota. Śpiewali ją wszyscy na stojąco. Eskortujący nas żandarmi pytają, co to za pieśń. Ktoś z całą powagą odpowiada: – Das ist ein Kirche Lied (To jest pieśń kościelna). Niemiec przyjmuje to ze zrozumieniem, ale po chwili, uświadomiony przez Ślązaka, wścieka się ze złości, poleca zapłombowanie wagonu. Za karę aż do Brandenbura nie pozwolono nam podać kropli wody. W czasie całej podróży trwającej wiele dni, raz w nocy, na jednej ze stacji otrzymaliśmy w kubkach tekturowych gorący napój, a właściwie był to rodzaj kremowej zupy jarzynowej.

W Brandenburgu znów obóz przejściowy, długie od ściany do ściany legowiska z dwóch stron ściany, dwupiętrowe, tylko deski, po środku kilka małych stolików i ogrodowe krzesła. Większość nocy spędziłam siedząc na krześle. W ciągu dnia znów nas sprawdzają, selekcionują, kwalifikują. Tam otrzymaliśmy trzy posiłki w ciągu dnia. Na śniadanie i kolację kawę i po jednej apetycznie przyrządzoną kanapkę, wystarczającą do zaostrzenia, a nie zaspokojenia apetytu młodzieży. Na obiad zupa w kamiennych miskach, na dnie, po jej wypiciu, została 1/4 ziemniaka. Problem, jak go wydostać, łyżki żadnej nie było. Ktoś miał szczyryk, więc kolejno go sobie pożyczano, byli niecierpliwi, którzy po ten kawałek ziemniaka sięgali ręką, na co już czekał Niemiec z aparatem fotograficznym. Opublikuje w prasie, jak to Polacy jadają, ale nie napisze, że nie otrzymali łyżek.

Jedynie grupa dziewcząt w strojach kurpiowskich wszystko z ubrania miała na sobie, a w plecaku duży bochen chleba i wędzonkę. Po kolacji wchodziły skupione razem na górą prycze i tam dopiero solidnie posilały się, przy czym zawodząc śpiewały pobożne pieśni. Któregoś dnia zostały poproszone przez jedną z dziewczynek, młodą, może 15-letnią, by dały jej kawałek chleba. Mówiła, że też jest ze wsi, a gdy będziemy na miejscu, to będzie otrzymywać paczki i się im zrewanżuje. W odpowiedzi zapytano ją: – A co nam za to dasz?

– A co byście chciały?

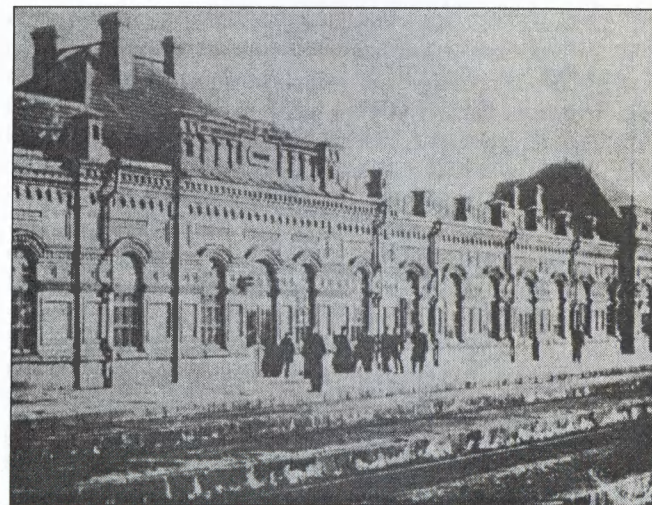
– A co masz, może kolczyki albo pierścionek?

Jakże te ich pieśni pobożne i wspólne modły kolidowały z ich zachowaniem. Miały doprawdy dużo jedzenia, a ona była tylko jedna, która ich poprosiła. Perspektywa przybycia na miejsce była już blisko. Kto chciał iść do bauera na gospodarstwo rolne, to już poprzedniego dnia mógł to uczynić. Była też oferta do lekarza i adwokata. Wymagana znajomość języka niemieckiego. Proponowano mi, ale nie chciałam, wolałam być w środowisku rodaków.

Pobyty w obozach przejściowych były z wielu względów tak przykre, że już marzono, by znaleźć się na miejscu. Wreszcie cały nasz transport znów załadowano do pociągu, przybywamy na miejsce po północy. W kuchni obozowej czeka na nas zupa gęsta, ziemniaczana, gorąca, można jeść do woli, zachęceni jesteśmy do tego, proponują dolewki.

Potem napełniamy trocinami sienniki i zanosimy do przydzielanych miejsc w drewnianych barakach. Otrzymujemy też po dwa koce. O poduszkach i o bieliznie pościelowej nie ma mowy. Tu także dwupiętrowe prycze, ale w porównaniu z warunkami w obozach przejściowych to rozkoszne spanie. Możemy się wyspać, dopiero o godzinie 12-tej stawia się do pracy. Zostaniemy tam zaprowadzeni.

Stanisława Łapkowska



Dworzec kolejowy w Pińsku, lata trzydzieste, XX w.

twarde ławki, drzwi na przestrzał, szyby opuszczane na pasach parcianych, ale i tak byłam zachwycona. Przesiadka w Łunińcu, oczekiwanie to herbatka i zaliczanie przejścia dla pieszych mostem nad torami. Jeżeli jechałam z mamą, to odwiedziły u mamy koleżanki, też nauczycielki. Następnie w pociąg Baranowicz-Sarny, przez Prypeć długim żelaznym mostem Wolańskim i wysiadka na przystanku Osowa (stał tylko domek droźnika, stacja była dalej w Widiborze, 7 km od Duboja), gdzie czekała furmanka przysłana przez ojca, 3 km piaszczystej drogi przez lasy i pole i już w domu, w szkole na skraju wsi Duboj. Babcia Dominika mieszkała w swoim domu, w środku wsi.

Następne wspomnienie to przyjazd do Pińska na stałe na początku lipca 1939 r. i wyładowywanie dobytku na bocznicę obok dworca. W kwietniu 1944 r., na tej samej bocznicy, pożegnanie 7-osobowej rodziny cioci Antoniny Gruszeckiej, która była mi drugą mamą. Udawali się w okolice Pragi czeskiej do rodziny Anny (Czeszki), żony najstarszego kuzyna Jana. Poza kuzynem Mikołajem nikogo z nich już więcej nie zobaczyłam.

W czasie wojny z pińskiego dworca wyjeżdżałam tylko raz i to dopiero 4 lipca 1944 r., gdy ojciec wysyłał nas (mamę, mnie i 11-letniego brata Ryszarda) do tzw. Generalnej Guberni do ojca siostry, Emilii, nauczycielki w Międzyrzeczu Podlaskim. Ojciec twierdził, że sam musi pozostać w Pińsku, aby pilnować domu.

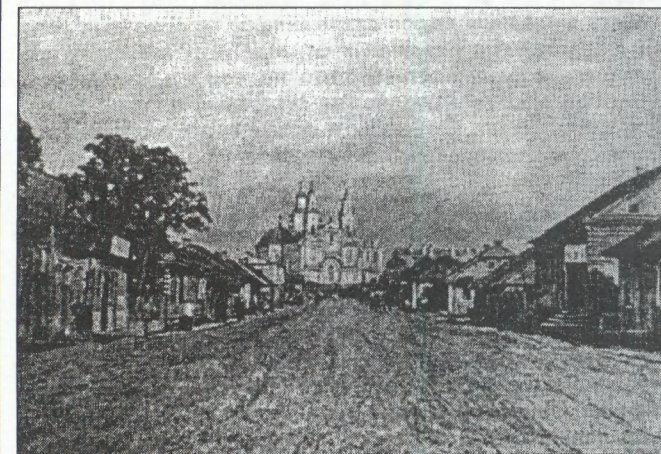
Ciocia Milka! Jaka barwna postać. W latach 30-tych, będąc wiejską nauczycielką na Podlasiu, poznała jakiegoś hrabiego z Kieleckiego. Wielka miłość, ślub, ale dla jego rodziny małżeństwo z córką emerytowanego urzędnika to megalomania. Nie pomogły perswazje, hrabia był zakochany. Gdy młoda para wchodziła do wiejskiego kościoła, podjechał samochód, siostra pana młodego poprosiła go na chwilę, został wepchnięty do samochodu i porwany podobno do Szwajcarii. Po miesiącu hrabia wrócił z przeprosinami i chęcią do ślubu. Został przepędzony, a w ślad za pierścieniem zaręczynowym poleciał drugi jego prezent – damski rower. Ciocia nigdy już nie chciała wyjść za mąż, chociaż miała szalone powodzenie, przekonałam się o tym osobiście na sylwestra 1945/1946 w Zielonej Górze w hotelu „Pod Orłem”, gdy nas odwiedziła.

Mój ojciec Bronisław miał jeszcze dwie siostry nauczycielki, po wojnie osiedliły się i wyszły za mąż w Polsce. Olga Sroczyńska w Lublinie, a Klaudia Rudek w Siedlcach. Miał też dwóch braci, Alojzy, mój chrzestny, zginął w Oświęcimiu, a Mietek w 1939 r. był 21-letnim mechanikiem na lotnisku wojskowym. Z pilotami przedostał się do Francji, potem do Anglii, gdzie przygotowywał samoloty polskim lotnikom. Ożenił się z Angielką Oliv i pozostał w Anglii. Miał jedną córkę Wandę, która nie umie słowa po polsku. Dziadkowie Maria i Jan odmówili wyjazdu do Polski, tak jak ich starsi sąsiedzi pozostali w Kamionce Strumieliwej koło

Lwowa, w swoim domku nad brzegiem Bugu. Obecnie mieszkają w nim Ukraińcy.

Wracając do Pińska, w 1900 r. istniało tam już około 50 zakładów przemysłowych zatrudniających ponad 4 tys. osób. Były nawet tak specjalistyczne zakłady, jak produkujące struny czy też chałwę. Robotnicy rekrutowali się z mieszczan, uwłaszczonych chłopów i zubożałej szlachty. Handlem i usługami tradycyjnie zajmowali się Żydzi. Warunki pracy były bardzo ciężkie, trwała ona 12-14 godzin dziennie i była nisko wynagradzana. U pracowników umysłowych brano pod uwagę narodowość, wyznanie i lojalność wobec władz. Np. na kolei Polaków i katolików przenoszono do pracy w głąb Rosji. To wszystko prowadziło do akcji protestacyjnych, już 1.02.1893 r. w wileńskim „Przedświcie” Józef Piłsudski pisał: „Na początku ubiegłego miesiąca w Pińsku nastąpiła zмова robotników warsztatów kolejowych. Robotnicy rzucili pracę, żądając usunięcia zarządzającego warsztatami i przywrócenia zniesionego półgodzinnego odpoczynku. Bezrobocie trwało tydzień. O tym ciekawym, rzadkim u nas, objawie samowiedzy klas pracujących, napiszę wam obszerniej, gdy zbiorę tyżące się tej sprawy dane.”

Protesty nasiliły się od 1905 r., były marsze protestacyjne na ulicach Pińska, starcia z carską policją i wojskiem, byli zabici i ranni. Rewolucja 1905-1907 r. była wielkim wstrząsem dla Rosji. Po 1905 r. sytuacja Polaków uległa niewielkiej poprawie. Jednak w Pińsku polskie dzieci nadal musiały uczyć się tylko po rosyjsku, a po polsku konspiracyjnie w domach. Biblioteki polskie były wyłącznie w domach prywatnych.



Pińsk końca XIX w., ul. Brzeska (od ul. Zawalnej).

W połowie XIX w. w Pińsku panował znaczny analfabetyzm. Szkoły elementarne, prowadzone przez duchownych wyznania prawosławnego i mojżeszowego, były na niskim poziomie. W 1853 r. w Pińsku rozpoczęła działalność pierwsza pięcioklasowa szkoła średnia wybudowana przez polskiego ziemianina Skirmuntta, przy głównej ulicy. W 1858 r. przekształcono ją w 7-klasowe gimnazjum, które w 1861 r. ukończyło pierwszych sześciu absolwentów. Językiem wykładowym był rosyjski, jednak wśród nauczycieli i uczniów znaczną większość stanowili Polacy. W czasie powstania styczniowego aresztowano dwóch gimnazjalistów Szymańskiego i Radziewskiego, wywołało to w szkole polityczne wystąpienia i zamieszki, usunięto 31 gimnazjalistów z ostatnich klas, a znienawidzony przez nich dyrektor Iwan Szulgin musiał w pośpiechu opuścić Pińsk.

Nastąpiły represje, profesorów i uczniów Polaków wymieniano na Rosjan, a w auli urządzono kaplicę prawosławną. Uczniowie byli śledzeni nawet na stacjach. W 1865 r. gimnazjum przekształcono w szkołę realną, której absolwenci nie mieli prawa wstępu na uniwersytet. Pomimo to nadal działały w szkole konspiracyjne koła samokształcenia politycznego, przekształcone w 1882 r. w koło młodych demokratów – w kontaktach ze studenta-

mi w Wilna. Po 1870 r. dyrektorem zostaje Kukliński, a z czasem szkoła realna ponownie staje się gimnazjum.

Na początku XX w. w Pińsku działają już dwa gimnazja państwowe męskie i żeńskie i kilka szkół prywatnych, wszystkie z rosyjskim językiem wykładowym, seminaria duchowne, powstają szkoły techniczne oraz handlowe. Kształcono też młodzież w warsztatach przemysłowych i rzemieślniczych.

Przed rozbiorem istniała diecezja pińsko-turowska, a jej ordynariuszem był ks. bp Joachim Horbaczewski. Po rozbiorach kościoły przekształcono w cerkwie prawosławne. Jako kościół rzymsko-katolicki pozostał przy głównej ulicy kościół Franciszkanów. Ufundowany w 1396 r. przez księcia pińskiego Zygmunta Kiejstutowicza, był budowlą drewnianą, na miejscu której w 1510 r. król Polski Zygmunt I Stary ufundował gotycki kościół murowany pod wezwaniem Wniebowstąpienia Najświętszej Marii Panny. Cztery razy kościół był niszczone (1618, 1648, 1706 i 1921) przez pożary i działania wojenne. Najbardziej zniszczony przez Szwedów w 1706 r., po czym w latach 1712-1730 wzniesiono go ponownie z włączeniem w budowlę zachowanych fragmentów ścian z 1510 r. W tym kształcie przetrwał prawie 300 lat do dziś. 19 grudnia 1852 r. dekretem carskiego gubernatora usunięto franciszkanów z Pińska, a kościół przekazano duchowieństwu świeckiemu jako kościół parafialny. W późniejszym okresie nosił nazwę kościoła farnego.

W dzielnicy Karolin, przez zakon przybyły do Pińska w XVII wieku z Włoch, tzw. zakon o. komunistów, w 1782 r., na miejscu starego drewnianego kościółka, został wzniesiony jednonawowy kościół murowany, masywnej konstrukcji pw. św. Karola Boromeusza. W 1836 r. zmarł ostatni zakonnik i kościół stał opuszczony. Okoliczni katolicy kościół odremontowali i w 1860 r. został otwarty jako kościół pw. św. Trójcy. Od 1912 r. przyłączono go do kościoła farnego.



Fot. Kościół św. Karola Boromeusza, obecnie sala koncertowa muzyki kameralnej.

Na fali wydarzeń w Rosji w latach 1905-1908 dojrzewa w narodzie polskim koncepcja odzyskania niepodległości Polski na drodze walki zbrojnej. Najwybitniejszym reprezentantem tej myśli staje się Józef Piłsudski, tworzący w 1904 r. tajne organizacje bojowe, za co zostaje w 1906 r. wykluczony z Polskiej Partii Socjalistycznej (pomimo że była to jedyna partia, która stawiała wyżej sprawę narodową niż klasową). Sprowadziło to rozłam PPS-u. Nadzieje na autonomię wiązano z Austrią, w 1912 r. w Zakopa-

nem założono Polski Skarb Wojskowy, w zaborze austriackim powstają Związki Strzeleckie, Legiony J. Piłsudskiego.

Gdy Pińsk zaczął powoli wychodzić z marazmu gospodarczego i kulturalnego, wybuchła I wojna światowa. Rosji wypowiedzieli wojnę dwaj pozostali zaborcy – Niemcy 1.08.1914 r. a Austro-Węgry 6.08.1914 r.. Państwa zaborcze, chcąc pozyskać dla siebie polskiego rekruta, wydawały odezwy do Polaków z różnymi obietnicami. Najręczniejszą zrobiła to Rosja wydając odezwę Wielkiego Księcia Mikołajewicza, naczelnego wodza armii rosyjskiej. Wielu Polaków uwierzyło i wstępowało do rosyjskiego wojska. W wyniku tych akcji i poboru rekruta Polacy walczyli przeciw sobie. W późniejszej fazie wojny, gdy powstawały formacje wojska polskiego, Polacy masowo przechodzili na stronę polską już jako wyszkoleni żołnierze, co miało swą dodatnią stronę w odzyskaniu niepodległości.

Pińszczanie początkowo dobrowolnie zgłaszali się do służby w oddziałach polskich formowanych po stronie Rosji, a w późniejszym okresie wielu przedarło się do Kuchockiej Woli, gdzie na bagnach polskich patrolów legionowe przygotowywały się wiosną 1916 r. do odparcia ofensywy Rosjan. **18 września 1915 r.** Pińsk zajęły wojska niemieckie, ustanowiono natychmiast okupacyjne rządy Dowództwa Wschodniego. Obowiązywała godzina policyjna, trwały rekwizycje wszystkiego, artykułów spożywczych, odzieży, przedmiotów miedzianych, nawet klamek, kończąc na fortepianach i dywanach. Niemcy wobec wszystkich mieszkańców miasta stosowali przymus pracy od trzynastego roku życia, również deportowano przymusowo do pracy w kraju i w głąb Niemiec, zapalał głód.

Pińsk z okolicą pozostawał przez 3, 5 lat ciągle na pierwszej linii frontu, tworząc silną pozycję niemiecką w kształcie półwyspu. Wojska rosyjskie stały od południa – 6 km (wieś Krubowo), od wschodu 12 km (Horodyszcze nad Jasiołdą), od północy 18 km (wzdłuż Jasiołdy i Kanału Ogińskiego). Miasto było pod ciągłym ostrzałem, wyludniło się, w 1914 r. ludność Pińska wynosiła prawie 35 tys., przy wkraczaniu Niemców 30 tys., a po ich wyjściu 9 tys.

Od końca 1916 r. nastąpiło kilka doniosłych wydarzeń zmieniających sytuację Polski.

5 listopada 1916 r. manifest dwóch cesarzy (niemieckiego i austriackiego) proklamował niepodległe państwo – Polskę.

W lutym 1917 r. wybuchła w Rosji rewolucja lutowa, car Mikołaj II abdykuje, a rewolucyjny rząd księcia Lwowa uznaje niepodległość Polski.

6 kwietnia 1917 r. Stany Zjednoczone Ameryki wypowiedziały wojnę Niemcom.

20 września 1917 r. w Paryżu Polska oficjalnie staje się sojusznikiem Ententy.

7 listopada 1917 r. w Rosji ponownie rewolucja, październikowa, a w marcu 1918 r. całą władzę w Rosji przejmują bolszewicy.

W marcu 1918 r. bolszewicy w Brześciu podpisują pokój z Niemcami, którzy rozpoczynają stopniowe wycofywanie się kolejną przez Białystok do Prus Wschodnich.

Józef Piłsudski okazał się prawdziwym mężem stanu, właściwie ocenił zmieniającą się sytuację, politycy i generalicja postawili sprawę niepodległości wyżej niż własne ambicje, a kościół i naród gremialnie poparli przywódców i 11 listopada 1918 r. Polska niepodległa stała się faktem, rozpoczęło się ustalanie a raczej wyrażanie granic Polski.

W styczniu 1919 r. po opuszczeniu Pińska przez Niemców na kilka dni wchodzi do miasta oddział nowo powstałej Niepodległej Ukrainy. 25 stycznia wypierają ich i opanowują Pińsk bolszewicy, wprowadzając swoje porządki, dotkliwe szczególnie dla warstw posiadających.

5 marca 1919 r. Pińsk zajmują Legiony J. Piłsudskiego pod dowództwem gen. dyw. Antoniego Listowskiego. Zastały miasto zdewastowane i ograbione. Brak żywności i odzieży usiłowały

złagodzić komitety pomocowe, amerykański i szwajcarski (zorganizowane przez I. Paderewskiego). Miasto powoli dźwigało się ze zniszczeń, od 19 kwietnia 1919 r. rozpoczęła działalność Flotylla Pińska. Inicjatorem i pierwszym dowódcą był por. marynarki Jan Giedrojc, były oficer rosyjskiej marynarki wojennej. Początkowo remontowano pozostawione przez Niemców statki, jesienią wzmocniono Flotyllę Pińską uzbrojonymi statkami Flotylli Wiślanej.

21 kwietnia 1920 r. Polska zawarła sojusz z Niepodległą Ukrainą, uznając jej władzę z atamanem Semenem Patlurą na czele i zapewniając pomoc w walce z bolszewikami.

Dlatego też 25 kwietnia 1920 r. ruszyła ofensywa polska na Ukrainę, była to walka o niepodległość Ukrainy, ale przez to i Polski. W ofensywie tej wzięła udział Flotylla Pińska, podporządkowana operacyjnie gen. ppor. Władysławowi Sikorskiemu. Staczając boje na Prypeci i Dnieprze z sowiecką Flotyllą Dnieprzańską, dotarła 7 maja 1920 r. do Kijowa.



Fot. Marynarze Flotylli Pińskiej defilują na Kreszczatiku w Kijowie – 9.05.1920 r.

I Armia Konna Budionnego przerwała ofensywę polsko-ukraińską i 16 czerwca nastąpił odwrót na całym froncie.

27 lipca 1920 r. do Pińska ponownie weszli bolszewicy i parli dalej na Warszawę, gdyż rozkaz M. Tuchaczewskiego brzmiał „na zachodzie ważyć się losy wszechświatowej rewolucji, po trupie Polski wiedzie droga do ogólnego wszechświatowego pożaru. Na Wilno, Mińsk, Warszawę marsz.”

15 sierpnia 1920 r. bitwa warszawska, uznana za osiemnastą decydującą bitwę w dziejach świata, utrzymała niepodległość Polski i wstrzymała pochód rewolucji komunistycznej na całą Europę. Wypieranie wojsk bolszewickich trwało do połowy października. Pod Zamościem rozbito słynną konnicę Budionnego, a 20 września wydzielona grupa gen. Krajowskiego uderzyła na Pińsk niszcząc koncentrującą się IV Armię Bolszewicką, rozbitą podczas bitwy warszawskiej.

26 września 1920 r. Pińsk został zdobyty przez gen. Stanisława Bułak-Bałachowicza. Pińsk odwiedzyczył się gen. A. Listowskiemu i gen. F. Krajowskiemu nazywając ich imieniem swoje ulice, a do gen. Stanisława Bułak-Bałachowicza przyłączyła się wojska nazwa „Dzień Matki Boskiej” za sprawą historyjki, że gdy bolszewicy tarasowali wyjście jego kawalerii z poleskich błot, przysłała mu się Matka Boska i powiedziała „durniu przecież tu jest dróżka” i pokazała ją. Gdy się obudził, dróżkę znalazł i oddział wyprowadził. Gen. S. Bułak-Bałachowicz dobrze się Polsce przysłużył, pochodził z polskiej rodziny na Wileńszczyźnie o tradycjach powstańczych, ukończył studia rolnicze, pracował jako rządca. Po słynnej odezwie rosyjskiej do Polaków z bratem Józefem wstępuje do wojska rosyjskiego, z czasem zostaje dowódcą-kawalerzystą. Po rewolucji tworzy oddział „Bałachowców” z Polaków, Białorusinów, Tatarów i Rosjan, walczy w formacjach bia-

łych Rosjan z bolszewikami, a w lutym 1920 r. podporządkowuje swój oddział Wojsku Polskiemu. Walczy na froncie ukraińskim i w bitwie warszawskiej. Ostatni epizod walki „Bałachowców” w ramach Wojska Polskiego, to zdobycie Pińska. Podpisanie 12.10.1920 r. w Rydze umowy o rozejmie na wschodnim froncie jest dla „Bałachowców” tragedią, podejmują samodzielną walkę o niepodległość Białorusi, którą proklamowano 12.11.1920 r. w Mozyrzcu. „Bałachowców” 4.12.1920 r. wyparła Armia Czerwona do Polski, gdzie zostali rozformowani. Gen. S. Bułak-Bałachowicz cieszył się sympatią i poparciem J. Piłsudskiego, zamieszkał z rodziną w Polsce i byli nieustannie trapieni przez wywiad sowiecki. W 1923 r. zamordowano jego brata Józefa. We wrześniu 1939 r. gen. S. Bułak-Bałachowicz walczył w obronie Warszawy, potem przeszedł do konspiracji, planował utworzenie Białorusi w sojuszu z Polską. 10 maja 1940 r. został zastrzelony przez gestapo na ul. Saskiej w Warszawie. Jego syn Henryk, oficer polski z września 1939 r., działał w AK, bratanek Zdzisław też z AK poległ w operacji „Ostra Brama” w Wilnie. Gen. S. Bułak-Bałachowicz to symbol polsko-białoruskiego braterstwa broni.

Unia polsko-litewska, rozbiory Polski, przymusowe zmiany wyznaniowe i małżeństwa mieszane przyczyniły się do tego, że wielu kresowiaków miało trudności w definitywnym utożsamieniu się z jedną z narodowości tam zamieszkałych. Szczególnie było to trudne u Białorusinów, którzy nigdy przedtem nie mieli swego państwa.

Język białoruski wyodrębnił się od XV w., a nowoczesny język literacki powstał w XIX w., zapoczątkował go Franciszek Sawicz (1815-1845) urodzony pod Pińskiem we wsi Wielatycze. Ukończył medycynę w Wilnie, publicysta, demokrat. Pod pseudonimem Adam Helhet napisał kilka utworów w języku białoruskim, m.in. „Tam bliz Pinska”. Białoruską literaturę romantyczną reprezentowali m.in. J. Barszczewski i A. Rypiński, a realistyczną W. Dunin-Marcinkiewicz, Białorusini o polsko brzmiących nazwiskach.

Na początku XX w. pojawiła się już cała plejada pisarzy białoruskich, a wśród nich Konstanty Mickiewicz (1882-1956). Po seminarium w Nieświeżu pracował jako nauczyciel w latach 1904-1906 w Pińskowiczach pod Pińskiem. W 1906 r. zasądzony za wystąpienie rewolucyjne, wrócił i zamieszkał w Pińsku pracując jako nauczyciel. Pod pseudonimem Jakub Kałas napisał w języku białoruskim wiele wierszy i utworów prozą.

W tygodniku „Niedziela” z radością przeczytałam, że obecnie nuncjuszem apostolskim na Białorusi jest abp Dominik Gruszeński. Sądzę, że wywodzi się on ze znanej na Polesiu rodziny z okolic Pohostu. Przed I wojną światową senior tego rodu Marcin Gruszecki trzymał wszystko żelazną ręką, a rodzina liczyła około 80 osób i posiadała dużo ziemi. W latach 20-tych rozdzielili się i każdy z kilkunastu spadkobierców otrzymał około 100 ha. Właśnie za członków tej rodziny wyszły za mąż, na początku XX w., siostra mojej mamy Antonina Kaczanowska ze wsi Duboj, a na początku lat 30-tych kuzynka Helena Protasowicka ze wsi Kałhaurowicze (od 1945 r. zielonogórzanka).

Ale co interesujące, niedługo po tym przeczytałam, że w procesji Bożego Ciała w Mińsku wziął udział nuncjusz apostolski abp Dominik Hrušovskij, modlitwy były odmawiane po białorusku, a śpiewy rozbrzmiewały po polsku. Czy w tej sytuacji można dziwić się Poleszukom, że pytani o narodowość odpowiadają „ja Poleszuka” lub „ja tutejszy”, że do wieszczki Adama Mickiewicza przynależą trzy sąsiadujące narody, a matką pierwszej głowy państwa, niepodległej Białorusi, Stanisława Szuszkiewicza jest Polka Helena Ludwikówna, zresztą podobnie pierwszego premiera Władysława Kiebicza. Tego już się nie da zmienić, po prostu takie są nasze korzenie historyczne i bardzo dobrze, że wzrasta świadomość, iż nie powinno nas to dzielić, ale łączyć i wzbożać.

cdn.

Jadwiga Kolibabka

KRONIKA PIONIERÓW

Notatki z Dnia Seniora

W dniu 11 listopada 1998 r. członkowie Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry spotkali się w sali Kasyna Wojskowego z okazji dorocznego Dnia Seniora. Powitaniem i rozmowom nie było końca, rzadka to bowiem okazja, aby spotkać się w takim gronie, tym bardziej, że czas robi swoje i co roku wyrwa kogoś spośród nich. Minęło już bowiem kilkadziesiąt lat od chwili, kiedy po raz pierwszy pojawili się w Zielonej Górze po wojnie. Mówiła o tym m.in. prezes zarządu Stowarzyszenia Helena Magalas, witając serdecznie zgromadzonych, a wśród nich wiceprezidenta Zielonej Góry Stanisława Domaszewicza i naczelnika Wydziału Infrastruktury Urzędu Miejskiego Pawła Sudera. Były też życzenia zdrowia, pociechy z wnuków i prawnuków pionierów. W wygłoszonej informacji prezes stwierdziła, że Stowarzyszenie liczy 182 członków. Zrezygno-



Przemawia prezes Helena Magalas.



O pracy Sekcji Historycznej mówi Maria Gołębiowska.

wało z członkostwa ze względu na stan zdrowia 10 osób, nabyło prawo członkowskie 12 osób. Niestety 11 osób zmarło. Ich pamięć uczczono chwilą ciszy.

Działają sekcje: Sekcja Socjalno-Bytowa pod przewodnictwem Reginy Maksymowicz starała się utrzymywać kontakty i udzielać pomocy najbardziej potrzebującym pionierom. Sekcja Historyczna, którą kieruje Maria Gołębiowska, prowadzi od 5 lat Izbę Pamięci (o jej działalności pisaliśmy w poprzednim numerze) i współpracuje z młodzieżą. W dyskusji zgłoszono wniosek o podwyższenie składki członkowskiej na rzecz Stowarzyszenia do 1 złotego miesięcznie (12 zł rocznie) z terminem obowiązywania od 1 stycznia 1999 r. Wniosek przegłosowano jednomyślnie. Wiceprezydent Domaszewicz odniósł się do zebranych z serdecznymi życzeniami, dziękując im za wszystko, co dla miasta dotychczas uczynili. Maria Gołębiowska apelowała o dostarczenie do Izby Pamięci wartościowych pamiątek. Regina Maksymowicz poinformowała, że członkowie SPZG mogą skorzystać z 14-dniowych wczasów w Rogowie w czerwcu i wrześniu. Koszt skierowania 412 zł. Jest możliwość zamówienia autobusu na dojazd. Zapisać się można w Ratuszu w pok. nr 18. Spotkanie umilili pp. Jadwiga Białowas, Radomski oraz Kazmierczakowie piosenkami z lat swej młodości, co zostało przyjęte oklaskami. Minął kolejny rok...

Wiesław Nodzyński

Skarby kultury europejskiej i narodowej w zbiorach Zielonogórskiej Książnicy

Wliczającym ponad 400 tysięcy woluminów księgozbiore Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. C. Norwida w Zielonej Górze szczególnie interesujący zespół tworzą zbiory specjalne, zwłaszcza starodruki (2770 wol.), a także kartografia (2000 jednostek) oraz zbiór rękopisów i grafiki.

Biblioteka szczyci się posiadaniem jednej z najstarszych ksiąg wydrukowanych w Polsce. Książką tą są „Sermones” (Mowy) Leona Wielkiego, papieża, tłoczone zapewne w Chełmnie nad Wisłą w 1477/78 r., a więc zaledwie w dziesięć lat po śmierci wynalazcy druku, Jana Gutenberga, zmarłego w 1468 r. Spośród innych inkunabułów (druków pochodzących z XV w.) do najcenniejszych pod każdym względem należy słynna „Chronica mundi” (Kronika świata) Hartmanna Schedla z 1493 r., wydana w Norymberdze. Ozdobiona 1809 ilustracjami drze-

worytniczymi, wśród których znalazły się również widoki Krakowa i Nysy, należała do najbardziej popularnych ksiąg schyłku XV i XVI w.

Znacznie liczniejsza w księgozbiore zielonogórskiej książnicy jest jednak kolekcja druków szesnastowiecznych. W grupie najwcześniejszych (postinkunabułów) wymienić należy wenecki kodeks prawniczy z 1502 r., zdobiony ręcznie malowanymi inicjałami i floraturą z użyciem oryginalnego złota. Zwracają również uwagę druki renesansowe ze słynnych ówczesnych oficyn wydawniczych i drukarni: Manucjuszów (Wenecja), Kobergerów (Norymberga), Frobenów i Oporina (Bazylea) oraz Plantina i Moretusa (Antwerpia). Jeszcze bogaciej prezentowane są wydawnictwa z epoki baroku: piękne foliały z wystawnie dekorowanymi kartami tytułowymi (frontispisami)

mi) i miedzyrytniczymi ilustracjami. Nie brak w zbiorze szesnastowiecznych wydawnictw kieszonkowych, słynnych „elzevirów”, tak poszukiwanych przez bibliofilów.

Szczególnie troskliwie biblioteka gromadziła w ostatnim trzystoletniu zabytkowe dzieła polskiej poligrafii. W swych zbiorach przechowuje druki najwybitniejszych szesnastowiecznych polskich oficyn wydawniczych i warsztatów poligraficznych: Jana Hallera, Hieronima Wietora, Florianą Unglera, Łazarza Andrysowica, Jana Januszewskiego, Szarfenbergów i Macieja Wirzbięty. Jeszcze liczniejszy zbiór stanowią druki z XVII-wiecznych polskich tłoczn: Piotrkowczyków, Franciszka Cezarego, Krzysztofa Szedla, Jana Szeligi i wielu innych.

W zespole polskich starodruków występują cymelia tej miary, co „Statut Łaskiego” z 1506 r., pierwsza świecka książka polska ilustrowana pięknymi drzeworytami, w tym sceną obrad sejmiku polskiego z udziałem Aleksandra Jagiellończyka, wydrukowana w krakowskiej oficynie Jana Hallera. Nie mniej cennym drukiem jest „Chronica Polonorum” Macieja z Miechowa, tłoczona w Krakowie przez zasłużonego dla kultury narodowej drukarza epoki renesansu, Hieronima Wietora. Wydana w 1521 r., zdobiona jest drzeworytami wyobrażającymi władców Polski oraz sceną koronacji Bolesława Chrobrego. Wybitnym zabytkiem poligrafii i języka polskiego jest przechowywana w zielonogórskim zbiorze „Biblia” w tłumaczeniu Jana Leopolity, niezwykle bogato ilustrowana, wydana w 1577 r. przez Mikołaja Szarffenberga w Krakowie. Z innych druków należy wymienić „Ius municipale” (Prawo miejskie), tłoczone w 1535 r., z pięknym renesansowym frontispisem, Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła „Hierosolimitana peregrinatio” (relacja z podróży do Ziemi Świętej) z 1601 r., „Zielnik” Syreniusza z 1613 r. oraz „Dworzanina” Ł. Górnickiego, wyd. 2 z 1639 r.

Stan zachowania większości starodruków jest dobry. Oprawę stanowi przeważnie skóra świńska usztywniona deskami lub tekturą (niekiedy sklejką makulatury), zdobiona ornamentem wytłaczanym przy użyciu radełka i plakietki. Do części opraw użyto skóry cielęcej, również zdobionej tłoceniami, lub niezdobionej pergaminu.

W zbiorze kartograficznym biblioteki znajdują się również dzieła cenne, zasługujące na uwagę. Należą do nich: „Geografia” Ptolomeusza, wydanie z końca XVI w., zawierające kilkadziesiąt map drzeworytniczych, w tym także mapę Polski; 4-tomowy „Novus atlas” Jana Janssona, Amsterdam 1647, „Atlas compendarius” J. Homanna, Norymberga 1752 czy „Carte de la Pologne” Rizzi Zannoniego, Londyn 1772, jedna z pierwszych szczegółowych map Polski. Do bardzo cennych należą również XVII-wieczne widoki i plany miast Meriana. Wiele map, zarówno starych, jak i nowszych, obejmuje obszar środkowego Nadodrza. Wysoki poziom wykonawstwa wykazują zwłaszcza XVIII-wieczne mapy księstw glogowskiego i zagańskiego (z pięknymi kartuszami i dekoracją), pochodzące z pracowni kartograficznej wspomnianego już J. Homanna w Norymberdze.

Zbiory grafiki i rysunków, gromadzone przez bibliotekę od 1970 r., liczą ponad 500 jednostek. Składają się na nie prace zarówno współczesnych, głównie lubuskich twórców, jak i grafika starsza, niemal wyłącznie książkowa. W zbiorze znajdują się interesujące, ręcznie kolorowane miedzioryty z wyobrażeniem fauny i flory Śląska z początków ubiegłego wieku oraz liczne staroryty z widokami miast i zabytków architektury. Najcenniejszym w zbiorze jest jednak zespół rysunków pozyskany przez bibliotekę w 1970 r., a wiążący się z wielkopolską rodziną Turnów. Szczególną wartość nadaje temu zespołowi

pięć dotąd nieznanych szkiców Norwida, które – sygnowane i datowane – pochodzą z wczesnego okresu twórczości poety: wykonane zostały w Ostendzie w 1846 r.

W 1976 r. biblioteka podjęła organizowanie wystaw dorobku wybitnych polskich ilustratorów. Bezpośrednie kontakty z uznanymi artystami stworzyły dogodne możliwości gromadzenia oryginałów ilustracji polskich współczesnych plastyków. W krótkim czasie biblioteka pozyskała ponad 100 prac tak wybitnych artystów jak np. Antoni Boratyński, Zbigniew Rychlicki, Olga Siemaszko, Janusz Stanny, Andrzej Strumiłło, Antoni Uniechowski czy Józef Wilkoń. Umożliwiło to zorganizowanie w gmachu biblioteki stałej „Galerii polskiej ilustracji książkowej”, której zakres poszerzono poprzez włączenie do ekspozycji ilustrowanych starodruków (od „Statutu Łaskiego” począwszy), książek dziewiętnastowiecznych, z okresu międzywojennego i czasów najnowszych.

Na zbiór rękopisów zgromadzonych w zielonogórskiej WiMBP składają się większe zespoły, zabytkowe dyplomy oraz pojedyncze rękopisy. Zespół największy stanowi rękopiśmienna spuścizna po wybitnym uczonym, nestorze archeologii polskiej, prof. Józefie Kostrzewskim, który w swych badaniach i publicystyce wiele uwagi poświęcił sprawom etnogenezy Słowian i problematyce ziem zachodnich. Ponad sto tek zapisek uczonego składa się na sui generis inwentarz zabytków archeologicznych Polski i krajów ościennych. W zespole znajdują się ponadto rękopisy prac naukowych profesora powstałe w czasie okupacji. Spuścizna rękopiśmienna prof. Kostrzewskiego wraz z tekami jego publicystyki i wielotysięcznym księgozbiorem eksponowana jest w specjalnie urządzonym gabinecie uczonego, którego wyposażenie pozyskano od jego rodziny.

Kolejny większy zespół rękopisów związany jest z osobą myśliwego, podróżnika i pisarza, Włodzimierza Korsaka, autora książek przyrodniczych i myśliwskich, osiadłego w 1945 r. w Gorzowie Wlkp. Wśród Korsakowskich rękopisów znajdują się autobiografia pisarza i nie publikowane teksty literackie, listy, liczne zdjęcia oraz osobiste dokumenty autora „Roku myśliwego”.

Zespołem rękopisów o znaczeniu europejskim jest tzw. archiwum cesarzowej Herminii, drugiej żony Wilhelma II, odnalezione przez autora artykułu w Dąbrowie, nieopodal Zaboru – siedziby Herminii po śmierci Wilhelma. Zespół ten składa się z ponad 2500 listów, zdjęć i wycinków prasowych związanych z rodami Reussów, Schoenaichów oraz osobami Herminii i Wilhelma II. Odkrycie archiwum wywołało w początkach lat siedemdziesiątych sensację w prasie polskiej i zagranicznej.

Wśród rękopiśmiennych przekazów jednostkowych na uwagę zasługuje dwanaście listów i dokumentów polskich z XVI-XVIII w. z autografami Janusza Radziwiłła, znanego z Sienkiewiczowskiego „Potopu”, Michała Korybuta Wiśniowieckiego, Stanisława Augusta Poniatowskiego i Stanisława Staszica.

Z ksiąg rękopiśmiennych interesujący jest zwłaszcza znacznych rozmiarów dolnośląski antyfonarz z pierwszej połowy XVIII w., z ozdobnymi inicjałami i floraturą, eksponowany w bibliotecznym Muzeum Książki wraz z innymi zabytkami piśmiennictwa, ukazującymi tradycje książki na obszarze środkowego Nadodrza.

Kilkudziesięcioletni trud gromadzenia przez bibliotekę dorobku narodowego piśmiennictwa zaowocował zaliczeniem w 1978 r. zielonogórskiej WiMBP do Narodowego Zasobu Bibliotecznego.

Grzegorz Chmielewski

Rozmyślania po północy

Zima powraca skokami. Dzisiaj znowu sypie, siedzę przy oknie i patrzę na wznoszony, już na wysokość czwartej kondygnacji, budynek mieszkalny budownictwa komunalnego. Budowa oświetlona jodowymi lampami wygląda jak makieta oszalałego scenografa do filmu grozy. Granatowe niebo przecina podświetlone ramię dźwigu. Nieruchome, martwe, dla mnie także złowieszcze. Tutaj niedawno prezydent miasta wręczał, w dzień oczywiście, klucze młodym małżeństwom, jako że część obiektu przy ulicy Kilińskiego została już wykończona. Ponad trzydzieści lat przed oknem miałem otwartą przestrzeń, a teraz prawie na wyciągnięcie ręki duży blok mieszkalny. Skończyła się pewna epoka widoku z mojego okna. Siedzę tedy, patrzę na wirujące w zimowej poświacie, chwilami oszalałe płatki śniegu i myślę: – Dla tych, co zamieszkuja, radość, dla mnie koniec nadziei, jaki daje nieujarzmiony horyzont. Koniec jednak z tą tandetną fabułą na tematy osobiste. Brakuje tylko, abym napisał: Miasto to żywy organizm... rośnie... rozwija się...

Próbuję w tej scenerii odtworzyć moją rozmowę z Alkiem, jaką odbyłem po przeczytaniu w „Polityce” (nr 48 z 28 listopada 1998 r.) omówienia przez prof. Janusza Tazbira książki Bolesława Taborskiego – „Moje powstanie wtedy i teraz”. Jest tam zdanie: „Czas sprawił, iż nie żyje już chyba nikt z inicjatorów i dowódców warszawskiej insurekcji z 1944 r. Przy życiu pozostali zwykli jej uczestnicy oglądający wydarzenia z perspektywy szeregowców historii...”

Otóż takim „szeregowcem” jest Aleksander Dziedzic, przez całe swoje zawodowe życie uwikłane w finanse publiczne związany ponad wszystko z naszym miastem. Niektórzy uważają, że można by już dać spokój tym tematom związanym z narodowymi tragediami. Że czas na nowe narodziny, na nowe myślenie... To wszystko prawda. Kto jednak pozostanie w serialu pokoleń, gdy wykarczujemy korzenie historii i pozwolimy im spłonąć w aktualnym płomieniu politycznych potrzeb europejskich?

To za oknem nie pozwala się skupić. Mimo to:

Aleksander Dziedzic urodził się w Tczewie. Ojciec pracował przy liniach telefonicznych. Przed wybuchem wojny poczta podciągnęła się do granicznej miejscowości Woronienka. Wojna dopadła rodzinę w Worochcie (województwo stanisławowskie). W 1940 byli we Lwowie, potem los łaskawy zezwolił im przenieść się do Warszawy. Los łaskawy! W magazynie „Gazety Lubuskiej” (29-30 lipca, nr 176 z roku 1989) Zbigniew Szydłowski przygotował do druku „Pamiętnik z Powstania Warszaw-

skiego strzelca Rysia”. Przepisuję pierwszy akapit: „Notatnik o rozmiarach 10 cm na 20 cm w zielonych okładkach ma zapisanych 36 stron, częściowo ołówkiem kopiającym, częściowo atramentem. Poczynając od wtorku 1 sierpnia 1944 roku do poniedziałku 2 października tegoż roku, dzień po dniu, zapełniał stronicę notatnika strzelec „Rys”, awansowany pod koniec powstania do stopnia starszego strzelca. Był żołnierzem V kompanii zgrupowania Armii Krajowej mjr „Bartkiewicza” w śródmieściu. Obszar operacyjny zgrupowania obejmował ulice Królewską od strony Marszałkowskiej oraz Mazowiecką...”

Pamiętnik pisał 15-letni chłopiec, ale w tamtych warunkach pisał go żołnierz. Oto wyjątki z tych notatek:

„23 VIII. Środa

...Na barykadach przy Królewskiej. Dwóch poruczników rannych. Jeden dość ciężko od granatu. Niosłem go na noszach do szpitala. Gdy wróciłem z barykad, to dowiedziałem się, że ktoś mnie okradł: sandały, skarpety, teczkę skórzaną z różnymi drobiazgami. Bardzo się martwiłem, gdyż było to wszystko, co miałem. Na noc dostałem przepustkę.

24 VIII. Czwartek

...AK zdobyła (dom) nr 1 na Krakowskim Przedmieściu, a z kościoła wydobyto kilkadziesiąt kobiet i dzieci (żywych)... po południu odzyskałem moje skradzione rzeczy.

25 VIII. Piątek

Od samego rana słyszeć artylerię... Wczoraj kupiłem sobie organki...

26 VIII. Sobota

Dziś mamy święto Matki Boskiej Jasnogórskiej. Wszyscy mogą iść do domu tylko ja nie, bo mam służbę i to w dodatku z jakimś zwirowanym plutonowym, z którym o mały włos się nie pokłóciłem... znowu mam mieć służbę do szóstej wieczorem w niedzielę, czyli 72 godzin bez przerwy.

27 VIII. Niedziela

...Gdy wróciłem z przepustki, to poszedłem z dwoma kolegami po chleb na Sienną... Jak przechodziliśmy przez Marszałkowską, to 5 m od nas rozerwał się pocisk (wystrzelony) z Tygrysa. Kolegę, który był pół metra ode mnie, zabiło na miejscu, drugiego rzuciło o barykadę... Wieczorem zgłosiłem się na ochotnika, żeby przejść na plac Teatralny. Mieliśmy iść kanałami, lecz wyprawa nie doszła do skutku. Byłem zły, bo o pierwszej dopiero poszedłem spać.

28 VIII. Poniedziałek

O dziewiątej zaczęli Niemcy ostrzeliwać naszą dzielnicę z ciężkiego działka od strony Pragi. Jeden pocisk trafił w wieżę drapacza... Ja nie boję się (żadnej innej) broni niemieckiej tak jak ciężkiej artylerii, a to dlatego, że nie wiadomo, gdzie się przed nią schować.

29 VIII. Wtorek

...Już cztery tygodnie trwa powstanie... Jeszcze przed śniadaniem dostałem mundur. Zaraz przyszyłem sobie białą-czerwone patki i ubrałem się.

1 IX. Piątek

...O szóstej po południu rozpocząłem służbę wartowniczą. Za jakieś 5 minut wpadł do naszego domu pocisk artyleryjski. Gdy wybuchł, to blacha i deski z dachu zaczęły mi się sypać na głowę. Powietrze od wybuchu wypchnęło mnie na ulicę i gdyby nie hełm, byłbym może ciężko ranny w głowę lub zabity. Skończyło się na wygięciu hełmu i lekkim otarciu na plecach... Oprócz tego, że pocisk zniszczył dwa piętra, to jeszcze spowodował pożar.

2 IX. Sobota

...W schronie przysypało 8 osób. Odnosiłem rannych do szpitala. Jakoś z artylerią się oswoiłem i nie boję się jej tak, jak na początku.

3 IX. Niedziela

...Rano już o siódmej zaczęła bić artyleria. O 8 samoloty podpaliły dom, w którym koszarowaliśmy...

6 IX. Środa

...Przenieśliśmy się na drugą stronę Alei Jerozolimskich i kwaterujemy na Wilczej. Nie ma, co jeść. O wodę bardzo trudno...

9 IX. Sobota

...Znalazłem dzisiaj puszkę mleka skondensowanego... Po południu Niemcy ostrzelali nas z granatników... Po południu mieliśmy jeszcze ładne widowisko, jak (pocisk) granatnika wpadł w basen z wodą na pl. Dąbrowskiego. Wytrysnęła fontanna na wysokość drugiego piętra.

10 IX. Niedziela

...Znalazłem wczoraj pół walizki mydła toaletowego i do prania. Schowałem je, bo jak bolszewicy przyjdą, to sprzedam i będę miał, za co jedzenie sobie kupić...

11 IX. Poniedziałek

...Bolszewicy są podobno na rondzie Waszyngtona. My siedzimy w gruzach Królewskiej. Niemcy zajmują Chmielną i odcinają nas od drugiej strony Alei Jerozolimskich...

12 IX. Wtorek

...już 6 tygodni powstania, lecz teraz jest już nadzieja, że bolszewicy lada dzień przyjdą...

14 IX. Czwartek

Dzisiaj sanitariuszki nic nam nie ugotowały na deser, bo drużynowy zakazał za karę, że kilku kolegów zasnęło na warcie...

16 IX. Sobota

...Niemcy prawie cały dzień walą z granatników, „krów” artylerii i bombardują... Dostałem karabin i 52 naboje... Samoloty sowieckie krążą nad Warszawą bez przerwy. Bolszewicy zdobyli Pragę.

17 IX. Niedziela

...Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz się myłem. Na Królewskiej nieprzyjemnie jest siedzieć, dlatego że wszędzie leżą trupy.

23 IX. Sobota

W nocy od 9.00 do 1.00 paliłem z kolegami ogniska na pl. Dąbrowskiego, na znak dla lotników, gdzie mają być zrzucone. O piątę rano przez nasze podwórze przechodził gen. „Bór”.



Aleksander Dziedzic z okresu pracy w kompanii wartowniczej w Belsen Bergen. Miał wówczas 17 lat.

24 IX. Niedziela

...Znów 24 godzinna służba. Trzymamy ją wzdłuż ruin Mazowieckiej, która po jednej stronie jest w rękach niemieckich, a po drugiej, od strony drapacza, w rękach naszych. Rano przyleciały nad Warszawę samoloty sowieckie. Całe wojsko czeka z utęsknieniem przybycia armii sowieckiej, której patrole są już podobno na Karowej... Wczoraj wojska powstańcze opuściły Czerniaków...

30 IX. Sobota

... O 7 wieczorem odbył się ślub dowódcy plutonu z łączniczką „Krystyną” i mojego kolegi z sanitariuszką „Hanką”.

1 X. Niedziela

Od 5-tej mamy zawieszenie broni... Ludność cywilna przechodzi do Niemców. W nocy Niemcy zaczęli znowu niszczyć miasto.

2 X. Poniedziałek

Od rana zawieszenie (broni). Nasz pluton ma służbę

przy Mazowieckiej. AK poddaje się Niemcom. Idę razem z oddziałem. Pamiętnik chowam na kwaterze.”

Mówię Alkowi: – Trzeba Ci powiedzieć otwarcie. Napisałem do naszego pisma „Pionierzy” kilka tekstów i zawsze dotyczyły one tych, co już odeszli. Nie mogę tak ciągnąć tej śmierci za sobą. Chcę coś napisać o ludziach żyjących. Nie bardzo był zachwycony tym pomysłem. – Jeszcze mnie pociągniesz do tego korowodu. Ale okazałem się nie tylko zrzedliwym rozmówcą, ale i dość przebiegłym. – Jesteś finansowcem. Wybitnym – dodałem. Wielki ekonomista John Maynard Keynes, którego także cenisz, objawił prawdę absolutną... i tak wszyscy będziemy nieboszczykami. – To prawda – zgodził się Aleksander – ale to jednak kwestia czasu.

Mimo że ludzki umysł nie lubi, nie wiedzieć, to w tym wypadku wolę żyć w nieświadomości – kiedy i gdzie?

Po powstaniu zostaliśmy wywiezieni do Niemiec. W ewidencji obozowej przez rok byłem numerem 140 961. Alianci już po wyzwoleniu zatrudnili kilku z nas w kompanii wartowniczej. To było w Belsen Bergen. Tylko rok wytrzymałem w tych dobrych warunkach. Tęsknota za domem zżerała mnie a do tego jeszcze ten brak wiadomości o mamie i dwóch siostrach. Ojciec poległ podczas powstania na Starówce. Pojechałem do Leszna. Mój mundur, w którym się obnosiłem z godnością, zadecydował, że poproszono mnie do Urzędu Bezpieczeństwa. „Rozmawiano” ze mną przez miesiąc. W Wigilię 1946 roku odzyskałem wolność, ale niestety nie było dla mnie pracy. Pojechałem, korzystając z zaproszenia, na Hel. Ale też nie znalazłem zatrudnienia. Nie wyrażano bowiem zgody na zameldowanie. I tak koło się zamknęło. To nie znaczy, że nie miałem pracy. Robota była, pieniądze także. Kraj był wygłodzony, ryby z połowów sprzedawane bezpośrednio z kutrów rybackich przyniosły niezłe zyski. Otarłem się ponownie o organy bezpieczeństwa. Ale szczęśliwie się skończyło. Na wysokiej grzywnie za nielegalny handel. Złożyli się koledzy i wykupiłem się z łap Urzędu Skarbowego. I tutaj cholerny paradoks. Właśnie w tej instytucji od 1948 roku, znowu korzystając ze znajomości, rozpocząłem pracę aż po emeryturę. Przeszłość miałem zafajdaną. Po przyjaźni sekretarz PPR zapisał mnie do partii, potem było po zjednoczeniu PZPR. W Zielonej Górze była moja mama. Odwiedziłem ją. Miasto mi się spodobało. Pracowałem w Rawiczu, Śremie, Lesznie aż w 1950 roku trafiłem ponownie do Zielonej Góry. Moim zakresem obowiązków finansowca mógłbym obdzielić kilku urzędników. Miałem życie jako tako ustabilizowane, ale i trudne pytania. Sekretarz KW PZPR w Zielonej Górze Feliks Lorek pytał, dlaczego byłem w AK a nie AL. Kilka razy o mało nie wyrzuciło mnie poza nawias, ale zawsze tak się złożyło, że historia także brała zakręt. W ten sposób uwierzyłem, że ta moja ministrantura jeszcze w Worochcie, gdzie klęczałem przy trzech ołtarzach, jakoś dotarła do Pana Boga i opatrność mnie osłaniała.

W Zielonej Górze pracowałem w Wydziale Finanso-

wym WRN. Od 1960 do 1970 byłem kierownikiem Wydziału Finansowego MRN, od 1971 do 1975 szefem Inspektoratu Kontrolno-Rewizyjnego, a od 1976 w Okręgowym Zarządzie Dochodów Państwa i Kontroli Finansowej. Po kolejnej reorganizacji powstały Izby Skarbowe. Oddzielne w Zielonej Górze i Gorzowie. Po tym rozwodzie pozostałem szefem w naszym mieście. W 1991 roku przeszedłem na emeryturę. Skorzystałem także z uprawnień kombatanckich. Otrzymałem list pożegnalny od ministra finansów, którym w tym czasie był Leszek Balcerowicz. Całe życie zawodowe w jednym resorcie. A obok same kobiety, żona, dwie córki, dwie wnuczki, jedna prawnuczka...

– Alek – mówię – proszę, abyś jeszcze raz mi powiedział, ale już do publikacji, jak odzyskałeś swój pamiętnik. To musi być udokumentowane, wiarygodne, gdyż to wydarzenie ociera się wręcz o mitologiczne spełnienie.

– Siedem lat po powstaniu pojechałem do Warszawy. Kurs dla finansowców zorganizowało Ministerstwo Finansów. Zakwaterowali nas w hotelu „Praga” na Pradze. Mój pamiętnik, aby się nie dostał do niewoli, schowałem w kamienicy przy ulicy Mazowieckiej pod numerem 5-7. Rok 1951 nie był czasem dla powstańców. Stalin umrze dopiero za dwa lata. „Odwilż” nastąpi w 1956 po wypadkach poznańskiego Czerwca i warszawskiego Października. Do tego czasu o powstaniu i AK panowała zmowa milczenia. Długo trwał polityczny i moralny dramat naszego pokolenia.

„Tych, co ocalili, sadzano później do stalinowskich więzień. W ten sposób jeden okupant wymierzył karę za walkę z drugim. Była to chyba ostatnia z serii „wzajemnych przysług” świadczonych sobie po 1918 r. przez Niemcy, najpierw weimarskie a potem hitlerowskie i Związek Radziecki...” (prof. Janusz Tazbir za cytowaną uprzednio „Polityką”).

– W dniu 5 czerwca 1951 Hanna Palencik z Brwinowa, Józef Goryszewski z Elbląga, Adam Bereś z Rzeszowa i ja udaliśmy się na wspomnianą ulicę Mazowiecką. W środku kamienica wypalona, ale schody zachowały się prawie w całości. Pomiędzy oknem a ścianą powstała szpara. Futryna okienna została naruszona podmuchem bomby, ale nie wyrwana z lica muru. Powstało natomiast pęknięcie, które posłużyło mi za schowek dla mojego pamiętnika. Bezowocne początkowo próby wydobywania zapisków zakończyła Hania. Włożyła drobną dłoń aż po ramię w pękniętą ścianę i czubkami palców uchwyciła moje powstańcze zapiski. Gdy podała mi ten na wpół obumarły kajecik, sam poczułem się niewiele lepiej. Zrobiło mi się słabo, pierwsza rozpląkała się baba, ale i my pozostali nie mogliśmy się powstrzymać od wzruszenia. Zobacz, to jest ta moja dramatyczna relikwia. Wiele razy byłem w życiu na klęczkach, ale zawsze się miałem, o co oprzeć, aby wstać.

Jan Muszyński

DZIEJE zielonogórskich cmentarzy

Małgorzata Twarowska

Zielona Góra nie doczekała się do dnia dzisiejszego Większego opracowania na temat miejsc wiecznego spoczynku wszystkich śmiertelników na ziemi, czyli cmentarzy. Wiele wydawać się może, że nie jest to nic interesującego, lecz – zapewniam – są to tylko pozory. Otóż każdy z zielonogórskich cmentarzy, poczynając od XIII wieku i kończąc na czasach obecnych, posiada ciekawą historię. Przede wszystkim takich miejsc w Zielonej Górze na przestrzeni kilku wieków było dość dużo, bo ponad dziesięć.

Z dawnych opracowań (sprzed 1939 r.) najważniejszą pozycją były dzieje Zielonej Góry spisane przez Hugo Schmidta. Z opracowań współczesnych taką samą rolę można przypisać opowieściom o mieście napisanym przez Jerzego Majchrzaka. Jeśli chodzi o dokumentację źródłową, to nieocenioną pomocą były Karty Cmentarzy przechowywane w archiwum wojewódzkiego konserwatora zabytków w Zielonej Górze. Po głębszej analizie tych materiałów okazało się, że występują w nich pewne nieprawidłowości, co znajdzie wyraz w dalszej części tych rozważań.

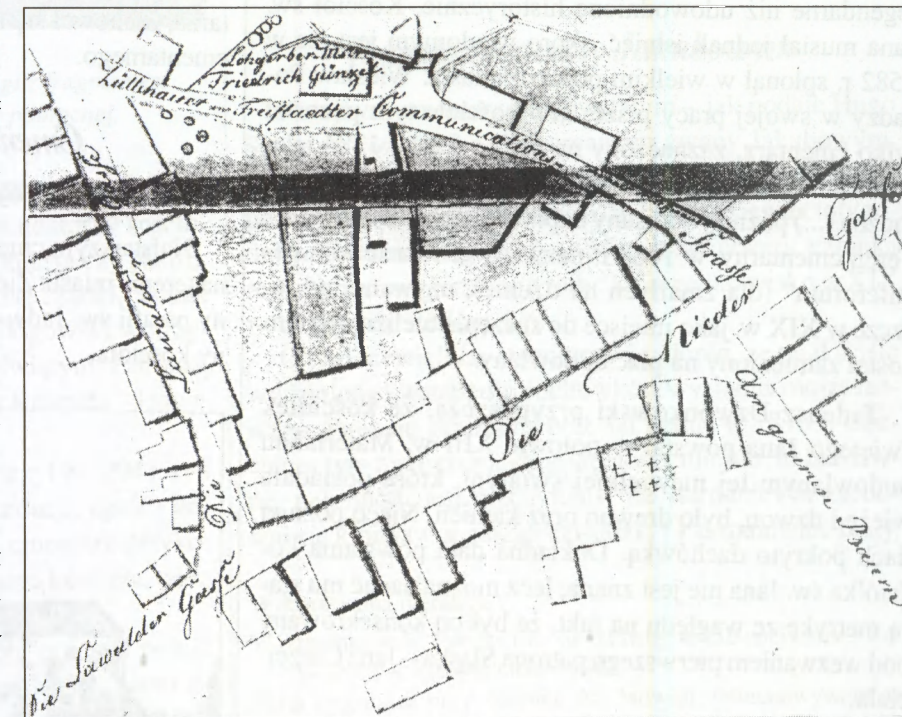
Badanie dziejów zielonogórskich cmentarzy okazało się zajęciem bardzo interesującym, dzięki któremu, przy okazji wgłębiania się w ich historię, dowiedziałam się wielu ciekawych rzeczy o naszym mieście, jak i jego mieszkańcach z poprzednich stuleci – twórcach Zielonej Góry. Przykładem może być tu ród Försterów, który swój grobowiec rodzinny miał na cmentarzu św. Trójcy oraz ród Beucheltów, mający swą mogiłę na cmentarzu Zielonokrzyżowym. Interesujące są także dzieje zielonogórskich Żydów, którzy będąc w tym mieście od wczesnego średniowiecza, mogli utworzyć własny cmentarz dopiero w 1814 r. Większość obywateli naszego miasta zapewne nawet nie wie, że w Zielonej Górze była synagoga żydowska, nie tak dawno, bo jeszcze w 1938 r., która skutecznie zniszczona pozostawiła po sobie jedynie reprodukcję zdjęcia. Swoją nietuzinkową historię posiada także nabot znajdujący się na osiedlu

Pomorskim. Jak twierdzą polscy badacze-historicy, jest to ślad, jaki pozostawiła po sobie zaraza morowa zwana czarną śmiercią. Innego zdania są natomiast historycy niemieccy, którzy utrzymują, iż ów nabot nie był świątynią, lecz altanką ogrodową, miejscem schadzek tajemnych romantycznych kochanków. W tym przypadku bardziej prawdopodobna wydaje się być teza polskich historyków, choć w historii nic nie można stwierdzić na pewno.

Pierwszym i najstarszym zielonogórskim cmentarzem była nekropolia konsekrowana pod wezwaniem patrona Śląska – św. Jana Chrzyciela.

Cmentarz pod wezwaniem św. Jana

Cmentarz pod wezwaniem św. Jana pełniący funkcję grzebalną od poł. XIII w. do końca XVII w., był szcze-



Cmentarz św. Jana umieszczony na planie wykonanym w maju 1826 r.

gólnie ważną nekropolią, jeżeli chodzi o historyczne znaczenie jego położenia dla dziejów Zielonej Góry. Hugo Schmidt w swojej kronice o Zielonej Górze z 1922 r. pisze, że był to najstarszy cmentarz położony na północno-

zachodnim skraju dzisiejszego Wzgórza Winnego. Cmentarz ten można jeszcze oglądać na planie Antona wykonanym w 1826 r.

Wzgórze, u którego podnóża położony był niegdyś cmentarz św. Jana, nazywano wówczas Ceglaną Górą, z którą, jak pisze Jerzy Majchrzak, związana jest „najdawniejsza przeszłość Zielonej Góry”. Otóż, jak dowodzi wielu badaczy polskich i niemieckich (m.in. Wiesław Posadzy), przed powstaniem właściwego ośrodka na lewym brzegu Złotej Łączy pierwotnie powstało osiedle na prawym brzegu tej rzeczki, właśnie na stokach Ceglanej Góry, którego to początek należy datować na XIII wiek. Z tym miejscem prawdopodobnie związana jest dzisiejsza nazwa Zielonej Góry, gdyż niemieckie brzmienie „Gruneberg” występujące w źródłach od 1302 roku, zostało przez pierwszych mieszkańców dosłownie przetłumaczone. Chodzi tu oczywiście o porośniętą wówczas zielenią Ceglaną Górę. Powstanie tego pierwotnego osiedla rolniczego u podnóża Ceglanej Góry było spowodowane warunkami fizjograficznymi, ponieważ w tym miejscu przecinały się główne szlaki handlowe: Wrocław – Krosno – Międzyrzecz.

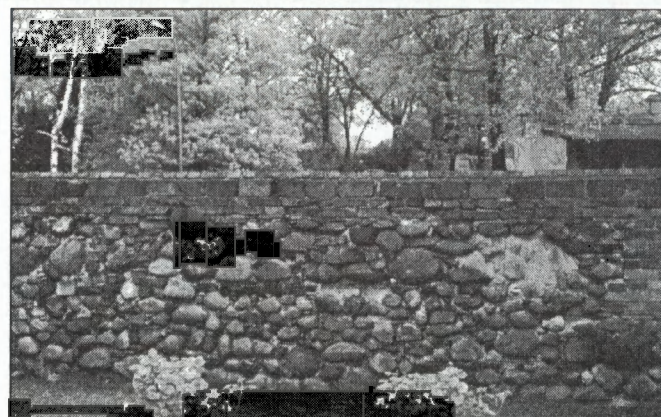
W pracy Hugo Schmidta znajduje się wzmianka, że u podnóża Ceglanej Góry wybudowano również pierwszy kościół w Zielonej Górze pw. św. Jana, jednak – jak pisze dalej H. Schmidt – dawne przekazy na ten temat są raczej legendarne niż udowodnione historycznie. Kościół św. Jana musiał jednak istnieć, skoro wiadomym jest, że w 1582 r. spłonął w wielkim pożarze miasta. Wiesław Posadzy w swojej pracy pisze: „Po kościele tym pozostał tylko cmentarz, zaznaczony na planie z roku 1784 jako tzw. Gottes Acker, pod którym to określeniem odczytać można (...) później dopisany napis »Johannis Kirchofe«”. Teren cmentarny, w 1688 r. nazwany „coemeterium pestiferorum” (dla zmarłych na dżumę), używany był jeszcze w XIX w. jako miejsce do suszenia bielizny, zanim został zamieniony na plac budowlany.

Tadeusz Dzwonkowski przypuszcza, że kościółek świętego Jana powstał w połowie XIII w. Materiałem budowlanym tej niewielkiej świątyni, która posiadała wieżę i dzwon, było drewno oraz kamień. Nieco później dach pokryto dachówką. Dokładna data powstania kościółka św. Jana nie jest znana, lecz można nadać mu starą metrykę ze względu na fakt, że był on konsekrowany pod wezwaniem pierwszego patrona Śląska – Jana Chrzciciela.

W okresie reformacji, kiedy luteranie zajęli kościół parafialny pw. św. Jadwigi, w rękach katolików pozostał jedynie kościół św. Jana, aż do momentu wybuchu pożaru 26 lipca 1582 r. Jednak przywiązanie mieszkańców miasta do tego kościoła było tak wielkie, że w 1619 r. kościół odbudowano, a 4 lata później wyposażono go w starą ambonę z kościoła św. Jadwigi. Prawdopodobnie w 1652 r. kościółek św. Jana ponownie strawił ogień i nie

został już odbudowany, ponieważ od tego momentu nie istnieją już żadne o nim wzmianki.

W osadzie na Ceglanej Górze przeważali, jak się przypuszcza, ludzie mówiący po polsku, natomiast w nowym mieście – w obrębie dzisiejszego Starego Rynku – posługiwano się głównie językiem niemieckim. Oficjalnym językiem nabożeństw, oczywiście obok łaciny, był także język polski.



Fragment muru ogrodzeniowego cmentarza św. Jana Chrzciciela

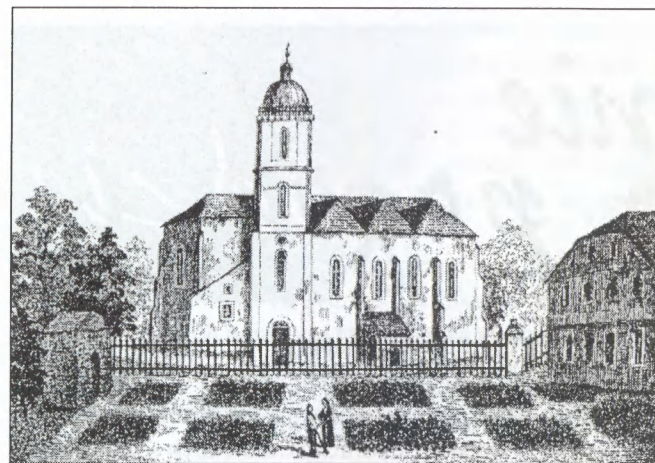
Dziś miejsce pocmentarne jest całkowicie zmienione. Po dawnym cmentarzu nie pozostały żadne nagrobki, nie występuje także starodrzew związany z założeniem cmentarza, zachował się natomiast fragment muru ogrodzenia cmentarnego.

Cmentarz przykościelny parafii świętej Jadwigi

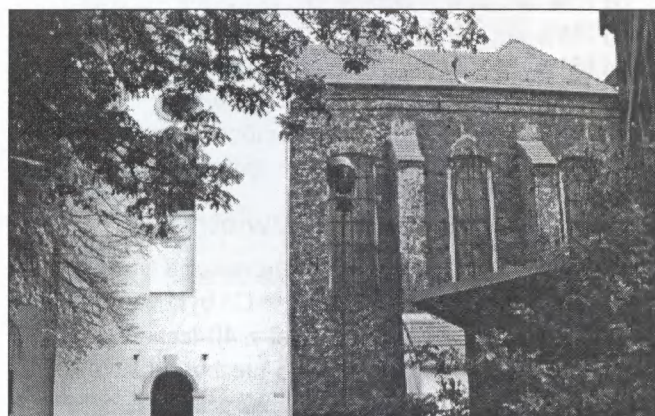
Najstarszym cmentarzem w obrębie murów miejskich na terenie miasta Zielonej Góry był cmentarz przykościelny parafii św. Jadwigi, zlokalizowany od północnej strony kościoła.



Widok kościoła św. Jadwigi z ok. 1820 r. od strony południowej.



Widok kościoła św. Jadwigi z ok. 1850 r. od strony północnej z miejscem pocmentarnym.



Widok współczesny kościoła św. Jadwigi z fragmentem miejsca pocmentarnego od strony północnej.

Wokół kościoła grzebano zazwyczaj osoby duchowne, choć również taki przywilej mieli fundatorzy kościołów i osoby szczególnie zasłużone dla miasta czy parafii. W Zielonej Górze zwyczaj ten był dość rzadki, jednak fundator kościoła farnego – Konrad Głogowski – otrzymał go i został pochowany w obrębie świątyni. Patronką kościoła parafialnego została prababka Konrada – Jadwiga Śląska.

Budowę kościoła św. Jadwigi zakończył w 1294 r. syn fundatora – Henryk III Wierny. Do fundacji, oprócz kościoła, należał grunt pod kościołem i cmentarz przykościelny, a także wyposażenie wewnętrzne kościoła, takie jak sprzęt liturgiczny, dzwony, meble itp.

Niewielki cmentarz wokół kościoła przestał pełnić funkcję grzebalną w zasadzie pod koniec XV w., niemniej jeszcze w II poł. XVII w. i na początku XVIII w. złożono na nim ciała niektórych zasłużonych, szczególnie dla kościoła, mieszczan. W zewnętrznej ścianie świątyni oraz wewnątrz kościoła wmurowano kilka płyt nagrobnych.

Dzisiaj układ dawnego cmentarza jest nieczytelny, nie występują żadne nagrobki, poza wymienionymi płytami nagrobnymi. Pozostał natomiast starodrzew z poprzednich stuleci, m.in. pozostałości alei głogowej.



Płyta nagrobna w zewnętrznej ścianie kościoła św. Jadwigi.

Cmentarz zwany Jakubowym

Kolejnym cmentarzem powstałym – jak podaje Hugo Schmidt – w 1628 r., był cmentarz zwany Jakubowym. Chowano na nim wyznawców protestantyzmu. Pierwszym pochówkiem, z dnia 1 czerwca, był grób dziewięcioletniego niemowlęcia, syna Michaela Förstera, członka rodziny zielonogórskiego rodu, którego nazwisko w XIX w. rozślawiło Zieloną Górę.

O tym niewielkim cmentarzu wiadomo, że miał ściśle wydzieloną kwaterę dla pochówków wyznania mojżeszowego. Funkcję grzebalną przestał pełnić w 1816 r. Obecnie w tym miejscu znajduje się skwer miejski; układ dawnej nekropolii jest nieczytelny. Ze starodrzewia zachował się klon jawor, jarząb szwedzki i kasztanowiec biały.

Wykorzystana literatura

- T. Dzwonkowski, Parafia pw. św. Jadwigi w Zielonej Górze. Zarys dziejów, Zielona Góra 1994.
- Karta cmentarza przy kościele św. Jadwigi, Przechowywana w Wojewódzkim Oddziale Państwowej Służby Ochrony Zabytków w Zielonej Górze. Wypełnili E. Lukas, R. Awzan, Zielona Góra 1989.
- J. P. Majchrzak, Na tropach dawnej Zielonej Góry. Opowieść o mieście, Zielona Góra 1993.
- W. Posadzy, Początki miasta i jego rozwój przestrzenny, [w:] Zielona Góra. Przeszłość i teraźniejszość, red. M. Szczaniecki, J. Wąsicki, Poznań 1962.
- H. Schmidt, Geschichte der Stadt Grünberg, Grünberg 1922.

Opowiadanie o pogodzie

Starsi mieszkańcy porównują pogodę w naszym mieście do pogody w miejscach ich poprzedniego zamieszkania, często bardzo odległych. Warunki klimatyczne zależą od bardzo wielu czynników, w pierwszym rzędzie zależą od nachylenia promieni słonecznych w stosunku do powierzchni Ziemi, wskutek czego jest nierównomierne ogrzewanie różnych części powierzchni Ziemi. Inaczej ogrzewa się powierzchnia na równiku, inaczej w umiarkowanych szerokościach geograficznych, a jeszcze inaczej za kołem polarnym. Duży wpływ na klimat ma charakter podłoża, inaczej ogrzewają się powierzchnie oceanów, a inaczej powierzchnie lądów. Ważne jest również, czym pokryte jest to podłoże, czy jest to lód i śnieg, czy gleba lub skały oraz jaką szatą roślinną pokryty jest ląd. Wreszcie na klimat ma jeszcze wpływ cyrkulacja atmosfery, zarówno pozioma, jak i pionowa. Duży wpływ na klimat ma działalność gospodarcza człowieka. Gdy mówimy o klimacie lokalnym, np. miasta, to ważna jest wielkość miasta, jego uprzemysłowienie, ba, nawet czy omawiamy klimat centrum miasta, czy jego peryferii. Do tego dochodzi zmienność klimatu w czasie. Dlatego porównywanie pogody z różnych obszarów i z różnych okresów niczemu nie może służyć.

Za namową redakcji czasopisma „Pionierzy” postanowiłem informować Państwa o historii i czasach obecnych przebiegu pogody w Zielonej Górze. W opowiadaniach swoich będę opierał się na ponad 100-letnich wynikach obserwacji meteorologicznych w naszym mieście.

Dzisiejsze opowiadanie poświęcę porównaniu pogody w roku 1998 z danymi wieloletnimi. Dla temperatury powietrza i opadów jako normę przyjąłem średnie obliczone z 40-lecia 1951-1990, w ciekawszych przypadkach będę odwoływał się do posiadanych wyników obserwacji z lat 1885-1998. W tych zestawieniach dla temperatury brakuje mi danych z lat 1942-1946, czyli dysponuję danymi za 109 lat. Posiadam również komplet wyników obserwacji nad opadami od 1885 roku, czyli za okres 114 lat. Wyniki obserwacji ciśnienia, wiatru, zachmurzenia i usłonecznienia porównuję z danymi z lat 1976-1998, tj. z okresem ostatniej lokalizacji Stacji Hydrologiczno-Meteorologicznej w Zielonej Górze.

W swoich „Opowiadaniach o pogodzie” porównując średnie miesięczne temperatury powietrza z danymi wieloletnimi będę używał następujących określeń:

- odchyłka poniżej $-3,5^{\circ}\text{C}$ = wyjątkowo chłodny,
- od $-2,1$ do $-3,5^{\circ}\text{C}$ = bardzo chłodny,
- od $-0,6$ do $-2,0^{\circ}\text{C}$ = chłodny,
- od $-0,5$ do $+0,5^{\circ}\text{C}$ = normalny,
- od $0,6$ do $2,0^{\circ}\text{C}$ = ciepły,

- od $2,1$ do $3,5^{\circ}\text{C}$ = bardzo ciepły,
- powyżej $3,5^{\circ}\text{C}$ = wyjątkowo ciepły.

W porównaniach sum miesięcznych opadów – wartości procentowe względem średnich wieloletnich – będę stosował następujące określenia:

- poniżej 25% normy wieloletniej = skrajnie suchy,
- od 25% do 75% = bardzo suchy,
- od 76% do 125% = normalny,
- od 126% do 150% = wilgotny,
- od 151% do 200% = bardzo wilgotny,
- powyżej 200% = szczególnie wilgotny.

Po tym wstępie przystępuję do omówienia przebiegu pogody w roku 1998 w porównaniu z danymi wieloletnimi.

Temperatura powietrza

Średnia temperatura roku 1998 liczona z 8 terminów obserwacyjnych na dobę wyniosła $8,9^{\circ}\text{C}$ i była wyższa o $0,6^{\circ}\text{C}$ od średniej wieloletniej obliczonej z 40-lecia 1951-1990. Wielu z Państwa mając w pamięci niezbyt udane ubiegłoroczne lato zaprotestuje. Proszę jednak pamiętać, że na temperaturę średnią roczną składają się temperatury wszystkich miesięcy. Stali słuchacze „Gawęd o pogodzie”, które prowadzę od dłuższego już czasu rano w każdy piątek w Radiu Zachód, wiedzą, że w minionym roku wszystkie miesiące pierwszej połowy roku miały temperatury wyższe od normy, a wszystkie miesiące drugiej połowy roku miały temperatury poniżej normy.

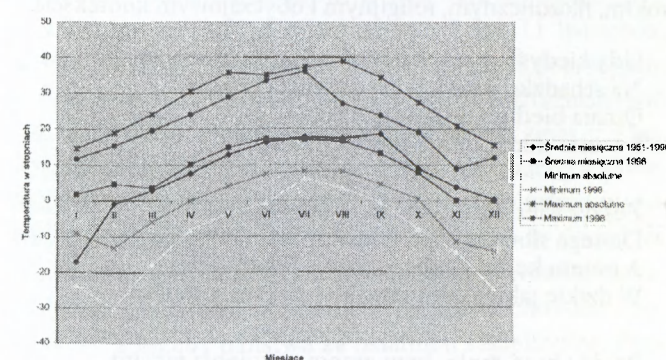
Do tej pory najwyższą temperaturę średnią roczną miał rok 1934 i wyniosła ona równo 10°C . Po II wojnie światowej najcieplejszy był rok 1989 z temperaturą średnią roczną $9,8^{\circ}\text{C}$.

Jak dokładnie wyglądał przebieg temperatur poszczególnych miesięcy? Kolejność podaję poczynając od miesięcy z największymi odchyłkami od normy wieloletniej. Wyjątkowo ciepły był luty z temperaturą średnią miesięczną $4,7^{\circ}\text{C}$, podczas gdy norma wynosi $-0,8^{\circ}\text{C}$. W całej historii obserwacji meteorologicznych znalazł się on na drugim miejscu, po lutym 1990 r. Bardzo ciepłe były styczeń i kwiecień. Ciepłe pozostałe miesiące pierwszego półrocza, czyli maj, czerwiec i marzec. Najwyższą temperaturę maksymalną roku, 36°C , zanotowano w dniu 21 lipca, tak wysoką temperaturę maksymalną notowano w minionym 100-leciu w lipcu średnio raz na 14 lat. Jednak w ostatnich 50 latach tylko dwa razy, w roku 1959 i 1994, mieliśmy temperatury maksymalne lipca ponad 36°C . W historii obserwacji meteorologicznych najwyższe temperatury maksymalne dla całego roku zanotowano w dniu 19 sierpnia 1892 r. i wyniosła ona 39°C . Po drugiej wojnie światowej najwyższą temperaturę maksymalną 37°C miał dzień 1 sierpnia 1994.

Jak już wspomniałem, wszystkie miesiące drugiej połowy roku miały temperatury poniżej normy wieloletniej. Wyjątkowo chłodny był listopad z temperaturą średnią miesięczną 0° , podczas gdy norma wynosi $+3,7^{\circ}$. W historii obserwacji znalazł się on na 4 miejscu. Chłodne były październik, sierpień i lipiec, tylko nieco niższe od normy temperatury miały wrzesień i grudzień.

Najniższą temperaturę minimalną w roku ubiegłym – 14° zanotowano w dniu 12 grudnia. W historii obserwacji meteorologicznych najniższa temperatura minimalna wynosi -30° i zanotowano ją dwa razy, 10 lutego 1929 roku i 9 lutego 1956 roku. (Rysunek nr 1)

Rys. 1. Przebieg roczny parametrów temperatury powietrza na Stacji Meteorologicznej IMGW w Zielonej Górze



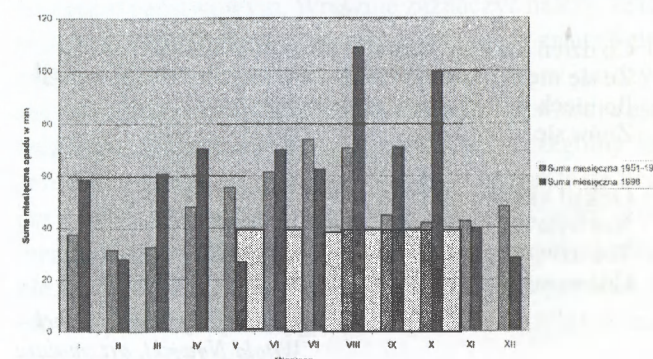
Opady

Miniony rok był wilgotny. Suma roczna opadu wyniosła 725 mm podczas, gdy norma wieloletnia wynosi 585 mm. W ostatnich 114 latach suma roczna opadu powyżej 700 mm zdarzała się średnio raz na 6 lat. Miniony rok w tabeli najbardziej wilgotnych lat za ten okres znalazł się na 17 miejscu.

W historii obserwacji meteorologicznych największą roczną sumą opadu – 905 mm zanotowano w roku 1926. Po roku 1945 największą sumą roczną opadu mieliśmy w roku 1967 i wyniosła ona 770 mm. Z kolei najbardziej suchy był rok 1982, w którym spadło tylko 385 mm.

Jak wyglądał rozkład opadów w poszczególnych miesiącach minionego roku? Bardzo suchy był maj i grudzień, w normie opady były w lutym, czerwcu, lipcu i listopadzie. Pozostałe miesiące miały opady powyżej normy. Szczegół-

Rys. 2. Średni przebieg roczny opadu na Stacji Meteorologicznej IMGW w Zielonej Górze



nie wilgotny był październik – 238% normy wieloletniej. Bardzo wilgotnych było 5 miesięcy, kolejność podaję poczynając od miesięcy z największymi odchyłkami od normy. Najbardziej wilgotny w tym zestawie był marzec, następnie kwiecień, wrzesień, sierpień i styczeń.

Największy opad za dobę dała burza połączona z ulewą z 2 na 3 sierpnia, kiedy spadło prawie 50 mm opadu, tj. 50 litrów na m^2 pow. 27 dni było z burzą (jest to mniej niż zwykle), 43 dni miało pokrywą śnieżną, również mniej niż zwykle. Najgrubszą pokrywą śnieżną – 19 cm zanotowano w dniu 9 grudnia. (Rysunek nr 2).

Zachmurzenie

Zachmurzenie było nieco większe, jak przewiduje norma, zwłaszcza w drugiej połowie roku.

Ciśnienie

Ciśnienie średnie roczne zredukowane do poziomu morza wyniosło 1015 hPa i było o 1 hPa niższe od normy wieloletniej. Największe skoki ciśnienia mieliśmy w listopadzie. Minimalne ciśnienie zanotowano w dniu 1 listopada – 983 hPa, a najwyższe w dniu 21 listopada 1044 hPa. Różnica aż 61 hPa.

Wiatr

Jak zwykle przeważającym kierunkiem wiatru był zachodni, było go nawet więcej niż przewiduje norma, bo aż 29% w skali 8 kierunkowej. Najmniej wiatr wiał z północy i północnego-wschodu – po 5%. Średnia prędkość 3,3 m/sek.

W ubiegłym roku było wyjątkowo małe usłonecznienie. Suma roczna wyniosła 1290 godzin. W ostatnich 32 latach, to jest w okresie, od kiedy wznowiono w Zielonej Górze obserwacje nad usłonecznieniem, miniony rok znalazł się w gronie 5 lat z najmniejszym usłonecznieniem wynoszącym poniżej 1300 godzin. Średnio usłonecznienie roczne wynosi u nas nieco ponad 1500 godzin.

W tym numerze to wszystko. Jeśli Państwu ta forma informacji o pogodzie odpowiada, w następnym numerze opowiem, jak wyglądała zima 1998/1999 w porównaniu z danymi wieloletnimi.

Ryszard Krassowski

Ryszard Krassowski – meteorolog. Kierownik Stacji Meteorologicznej w Zielonej Górze w latach 1960-1998. Przewodniczący Zespołu Doradców ds. Pracy Służby Hydrologiczno-Meteorologicznej przy dyrektorze IMGW w latach 1986-1998 (trzy kadencje). Zastępca przewodniczącego Rady Naukowej IMGW w latach 1991-1994. Od kwietnia 1994 r. autor copiatkowych „Gawęd o pogodzie” w Radiu Zachód.

TEMAT WINA W PERSKIEJ POEZJI XII WIEKU



Omar Chayyam (Khayyam) – 1021 (?)–1122 (?) Perski poeta, mędrzec, astronom i matematyk. Sceptyk, wolnomyśliciel o szerokiej wiedzy. Działal w okresie rozkwitu literatury perskiej. Spośród obszernej spuścizny wielką sławę zjednały mu ulotne czterowiersze – rubajaty (Rubai). Szczególnie w Anglii doczekało się jego imię niesłuchanej popularności i rozgłosu. Powstały „Kluby Omara” liczące wielu członków. W Polsce pierwsze wydania w roku 1911, 1921, następnie w 1969. Nas interesują rubajaty traktujące o winie, naturalnie w szerokim, filozoficznym, religijnym i obyczajowym kontekście.

*

Niech kto idzie i tak niech z prorokiem poczyna
Omar się kłania, ciekaw jaka w tym przyczyna,
Że mu kwaśnego mleka nie bronisz, a za to,
Odmawiać miałby sobie słodkiej kropli wina?

*

Zasie prorok te słowa pośle do Omara:
Głupi, kto się rozsądniej zapytać nie stara,
Wszakże mędrca nie tyczy zakaz mój. Jedynie
Durniowi od winiarni po wiek wieków wara.

*

Jeszcze we mgłach porannych róże toną śpiące,
Jeszcze serce od wina nie dosyć gorące,
O, nie idź spać, nie odchodź – jeszcze czas o duszo,
Wpierw się upój do syta. Przyjdzie po nas słońce!

*

Lubię szkarłat napoju, gdy nim łeb zaciemnie,
Lubię harfę i lutni słuchać mi przyjemnie.
Lubię także cnotliwca – tylkoż, jeśli łaska,
O sto kroków takiego trzymajcie ode mnie.

*

Klną się na raj, co być ma, raj z ksiąg i pacierza –
Gdzie hurysy i wino i patoka świeża –
Śmiem więc kochać już teraz niewiasty i wino,
Gdy i tak wszystko w końcu ku obojgu zmierza.

*

Jeśli gdzieś jest piekło i chciałbyś wtrącić doń
Tych, co im winem i krwią gorzej skroń
Od jutra, wierz mi, cały Twój rajski sad
Tak będzie pusty, jak moja próżna dłoń!

*

Wino jest wrogiem wiary, sumienia i Boga,
Wojna winu i zemsta! Zemsta sercu droga –
Jam wierny, przeto piję w imię Boskie, wino...
Wszakże wolno i godnie pić krew swego wroga!

*

Jak dziś pięknie! Nie chłodno, mi parno zbyt,
Kwiatne ziemi oblicze obłok zmywa... Cyt!
Słyszę jak oto słowik szepce w róży pąk:
Pij, rozkwitaj i miłuj! Znikomy nasz byt

*

Tlą się róże, ogrody w dusznej woni toną
Kiedym w zadumie usiadł nad czarą spienioną
Pijany słowik w ucho szeptał uparcie wsłucha:
„Jedno ci tylko życie – jedno ci znaczone”...

*

Gdy kiedyś umrę – na grób mój z dziewczyną
Na schadzkę błogą, szarą przyjdź godzina
Omara biednej duszy się użalcie
I w usta młode, stare sączcie wino.

*

Zeszyt wierszy, kęs chleba i udo baranie,
Do tego słodkie wino w polewanym dzbanie
A potem kędyś z tobą zapaść – kwietnolica
W dzikie jakieś odludzie. Mienią się sultanie!

*

Pójdź i broń mnie, bom zmorą wątplenia targany,
Daj mi w dzbanie zagadki radość rozwiązanej.
Z czarą w dłoni przepelną pijmy, pijmy, pijmy,
Nim kiedyś z prochów naszych znów uczynią dzbany.

*

Dajcie wina! Pod wpływem tego uciech płynu,
Niech mi lica roztopną barwami rubinu!
Gdy umrę – winem zmyjcie i z winnego drzewa
Niechaj trumna me szczątki śmiertelne pochowa!...

*

Flaszka wina, kromka chleba i poezji księga –
Oto cel mój, poza który myśl wyżej nie sięga.
Jeśli przy tem, wśród pustyni życie me ulata,
Losu swego nie zamienię z żadnym z władców świata.

*

Koran w jednej, dzban w drugiej ręce. Czas niemały
W cnocie chadzam, to w grzechu popadam opał –
I tak ze mnie pod niebios turkusowym stropem
Niezupełny poganin i wierny niecały.

*

Wytrwale kroczy życia karawana
W zaświat. Ach, strata nieodżałowana
Dzień bez radości. Więc nalewaj wina!
Już noc ucieka przed pogonią rana.

*

Co dzień klnę się skruszony i pełen otuchy,
Że się nie tknę już dzbanka. Lecz z glinyśmy kruchej!
Bo niech mnie jeno wiosna wonią róż zaleci
Znów się sobie lituję i kajam mej skruchy!

*

Odkąd księżyc i gwiazdy swoim torem biegną,
Nie było nic i nie masz nad wino lepszego.
Toż dziwuję się temu, kto nim kupczyć zdolny,
Cóż to może otrzymać w zamian przedniejszego?

Wyboru „winnych” rybajatów i rysunek –
Witold Nowicki, art. malarz

Historia piwowarstwa na świecie cd.

Kiedy pito piwo?

Zawsze i przy wszystkich okazjach. Bez niego nie mogło się odbyć żadne spotkanie rodzinne ani towarzyskie, a więc chrzciny, wesela, stypy pogrzebowe. Początkowo pito wyłącznie piwo, potem, gdy zaczęło rozpowszechniać się wino, podawano piwo do potraw, wino natomiast – pod koniec przyjęcia do deserów. Drugą datą kojarzącą się z piwem, już nie tak przyjemną, był dzień 11 listopada. Ważny ten dzień, zamykający okres jesiennych prac w polu, był terminem składania danin dworskich. Wśród nich było tzw. karczemne, płacone przez wiejskich karczmarzy. Płatnikami byli także mieszczanie i szlachta warząca piwo. Płacone przez nich „czopowe” dominowało wśród wszystkich obciążających ich podatków. Należy tu dodać, że piwowarstwo a skarb państwa – to osobny i wcale ciekawy rozdział historii. „Czopowe” niemalże ratowało i pokrywało potrzeby państwa za ostatnich Jagiellonów. Płatnikami byli już wszyscy, zarówno szlachta warząca piwo na własne potrzeby, jak również mieszczanie i karczmarze. Podstawą wymiaru podatku była warka.

W opodatkowaniu piwowarstwa prawdziwą rewolucję przyniosło panowanie Stefana Batorego. Wymuszone zostało potrzebą chwili: armia walcząca z Moskwą nie miała środków na utrzymanie, podwyższenie podstawy czopowego rozwiązało sytuację. Uniwersał poborowy obciążył czopowym nie tylko piwo, ale również i produkcję siodła, a także szynkowanie importowanych piw. W ten sposób czopowe stało się za czasów Batorego jednym z głównych – obok podatku łanowego oraz ceł – źródeł dochodów państwa.

Na zgłiszczach ostatniej wojny, w wyniku której zwycięskie narody świata mogły budować swoje życie pokojowe, otrzymaliśmy w stanie czynnym 78 browarów, które przeszły pod zarządek państwa oraz 31 browarów o małej mocy produkcyjnej stanowiących własność prywatną, bądź pozostających w zarządzie spółdzielni. Ponadto 32 browary zniszczone, nieczynne, wymagające odbudowy pod zarządem państwowym. Wreszcie zaznaczyć należy, że tonizujące i pobudzające właściwości piwa były znane Egipcjanom. Drożdże i piwo odgrywały dużą rolę w starożytnej farmakologii. Piwu przypisywano różne właściwości lecznicze. Hipokrates zalecał piwo jako szczególny lek przeciwko silnym gorączkom. Święta Hildegarda de Benger z zakonu benedyktynek w swoim miesięczniku rekomenduje piwo jako napój, który powinno się pić codziennie. Rada okazała się dobra, gdyż święta żyła przeszło 80 lat, co było rekordem długowieczności w ówczesnych czasach (żyła w XII w.).

Nie tylko piwo było tak cenione, piwowar również cieszył się specjalnym szacunkiem, traktowano go na równi z medykiem i wzywano do chorych. Badania nad wartością energetyczną i działaniem fizjologicznym piwa prowadzili liczni lekarze z wielu krajów: RFN, Anglii, Włoch, Francji, Szwecji i USA. W wyniku obserwacji i badań lekarze stwierdzili, że piwo nie tylko nie szkodzi, ale może mieć nawet pozytywny wpływ na organizm ludzki. Ułatwia trawienie pokarmów, działa pobudzająco na apetyt i stąd jest nawet zalecane przy odżywianiu ludzi starszych i rekonwalescentów. Prof. Tide z Francji twierdzi, że piwo może być zalecane nawet chorym, gdyż całkowicie i szybko rekompensuje utratę wody i soli mineralnych podczas dużego wysiłku fizycznego, pacjentom cierpiącym na niedomagania gastryczne. Stwierdza m.in., że piwo zawiera substancje zapobiegające marskości wątroby. Badania prowadzone przez amerykańskich lekarzy i potwierdzone w Szwecji wykazały, że piwo może być stosowane w leczeniu niektórych chorób, np. kamicy nerkowej i rozwoju zarodków gruźlicy. Zauważono, że wśród ludzi pracujących w piwowarstwie przypadki gruźlicy są bardzo rzadkie. Już dawniej stosowane środki lecznicze przeciw gruźlicy są pochodnymi witaminy PP, która występuje w piwie w dość znacznej ilości. Natomiast duże ilości witaminy B zawierają drożdże piwne.

Jeszcze ostatnia kwestia, chyba nie tylko na pozór kontrowersyjna. Piwo zaliczane jest do napojów alkoholowych i stąd w powszechnej opinii musi wywoływać określone skutki. Tymczasem wszyscy lekarze są zgoni, że ilość alkoholu w piwie jest tak mała, że jego działanie toksyczne z punktu widzenia medycznego nie może być brane pod uwagę. Alkohol znajduje się w stanie rozpuszczonym, jego asymilacja jest bardzo szybka i zachodzi bez obciążania organizmu. Profesor fizjologii Uniwersytetu Wiedeńskiego przed laty tak pisał: „Niebezpieczeństwo alkoholizmu zagrażające ze strony piwa nie może być brane przez nikogo poważnie. Przeciwnie, może być ono uważane jako środek zwalczający konsumpcję napojów wysokoalkoholowych.” W tym tkwi główna wartość społeczna konsumpcji piwa, jako skutecznego środka walki z alkoholizmem, co stwierdzili tak profesorowie jak i lekarze orzekając, że piwo zawierające mniej niż 4% alkoholu uznać należy za napój nie tylko nieszkodliwy, lecz nawet pożyteczny ze względu na własności dietetyczne i znaczenie, jakie może mieć w walce z nadużyciem wódki.

Stanisław Prałat



Kurczęta w chmielu

3 małe kurczaki, 100 g mięsa wieprzowego, 100 g cielęcego, żółtko, łyżeczka chmielu, duża marchewka, cebula, natka pietruszki, szczypta tymianku, listek laurowy, pół szklanki jasnego piwa, pół szklanki bitej śmietany, 2 duże jabłka (renety)

Z kurczaków wyjąć grubsze kości. Przygotować farsz: mięso zemieć, dodać żółtko i chmiel, wyrobić na gładką masę. Nadziać farszem kurczaki. Podsmażyć na tłuszczu, przełożyć do rondla, podlać odrobiną wody i dusić 20 minut, następnie dorzucić pokrajaną w plasterki marchew, cebulę, natkę, tymianek i listek laurowy, dusić razem jeszcze 10 minut. Jabłko obrać, usunąć gniazdo nasienne, pokroić na części, dusić w bardzo małej ilości wody. W tym czasie przygotować sos: do pół szklanki bulionu z kury (może być z kostki) dodać piwo i razem pogotować 5 minut, po czym zaprawić zasmażką (mąka z masłem). Tuż przed podaniem dodać do sosu bitą śmietanę. Polać sosem kurczaki. Podawać przybrane duszonymi jabłkami.

Wątróbka cielęca na piwie

750 g wątroby cielęcej, 300 g cebuli, 100 g masła, 0,25 l jasnego piwa, 5 łyżek śmietany, sól, pieprz, posiekana natka pietruszki z odrobiną estragonu

Wątróbkę umyć, namoczyć na 60 minut w mleku. Następnie wyjąć, osuszyć, odciąć błony, pokrajać na małe kawałki. Cebulę obrać i posiekać. Na rozgrzanym masle (50 g) smażyć 5 minut wątróbkę mieszając, posolić. W innym naczyniu usmażyć cebulę na pozostałym tłuszczu (10 minut), posypać pieprzem i solą. Do wątroby dorzucić natkę cebuli, doprawić śmietaną. Na półmisku połączyć zawartość obydwu naczyń.

Kwaszonka z czerwonej kapusty

6 kg kapusty czerwonej, 2 kg jabłek, 120 g soli, szczypta nasion kopru

Kapustę drobno poszatkować, głębię zetrzeć na grubej tarce razem z obranymi jabłkami. Wymieszać składniki kwaszonki z solą, ubić w garnku kamiennym, przykryć denkiem i płótnem oraz obciążyć. Po okresie burzliwej fermentacji wynieść kwaszonkę do piwnicy.

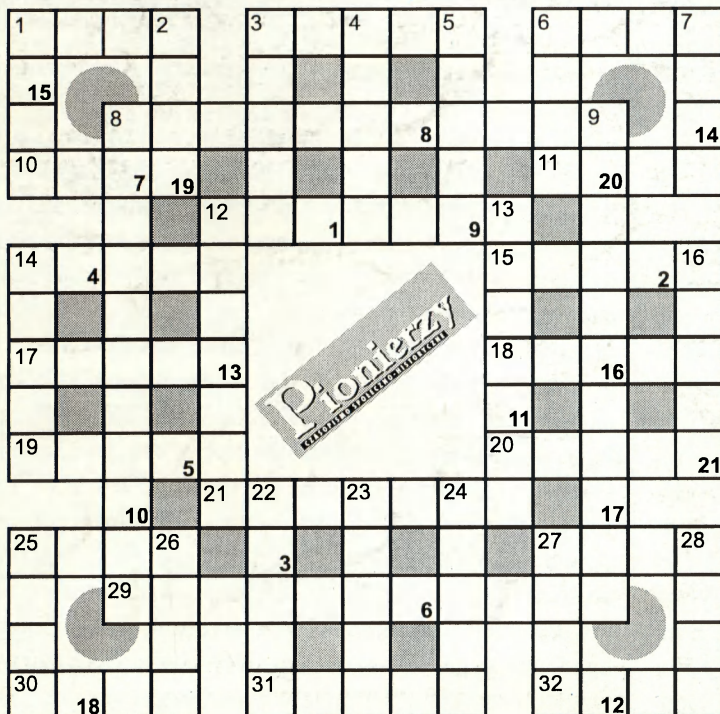
Kwaszonka trójbarwna

8 kg kapusty, 2 kg marchwi, 1,5 kg buraków ćwikłowych, 1 kg jabłek, około 150 g soli

Kapustę poszatkować. Marchew, buraki i jabłka obrać, zetrzeć na grubej tarce. Wszystkie warzywa wymieszać z solą, ubić starannie w garnku, przykryć denkiem (płatem płótna) i obciążyć. Po okresie burzliwej fermentacji wynieść kwaszonkę do piwnicy.

Stanisław Prałat

KRZYŻÓWKA Z HASŁEM



Litery w oznaczonych polach od 1 do 21 utworzą dodatkowe rozwiązanie.

Poziomo:

1. składnik chleba, 3. na szyi księdza, 6. para wodna nad ziemią, 8. świńskie mięso, 10. wykaz, zestawienie, 11. uraza, pretensja, 12. córka króla Krety, 14. poprzednik kosi, 15. gra w karty, 17. nakrycie na stół, 18. natłok, duża ilość pracy, 19. Tomasz dla rodziców, 20. deska zjazdowa na śniegu, 21. obrońca sądowy, 25. mazidło na ciało, 27. waga opakowania, 29. gadająca skrzynka, 30. nocny ptak, symbol mądrości, 31. kłamstwo, łgarstwo, 32. mocny napój alkoholowy;

Pionowo:

1. grymas na twarzy, jak planeta, 2. bycze bóstwo, 3. żołnierz budujący mosty, 4. uroczyste przyjęcie, 5. zbiornik wodny, 6. wyraz twarzy, 7. ptak nadmorski, 8. zastępca premiera, 9. sklep z antykami, 12. chustka na szyi kobiecej, 13. korzystający z radia i telewizji, 14. ... to zdrowie, 16. na końcu wędki, 22. przednia część statku, 23. dwukołowa taczka, 24. ryba akwariowa, 25. suche ciasto, 26. telewizyjna pszczołka, 27. rodzic, ojciec, 28. napaść nieprzyjaciela.

STANGAR

Wśród Czytelników, którzy do dnia 30 IV nadeślą na adres redakcji prawidłowe rozwiązanie (tylko hasło), rozlosowane zostaną cenne nagrody książkowe.